POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 28-go września 1940r.* **Rok II. Nr. 29**

W ROK PO WRZEŚNIU

W rok po kampanii wrześniowej, w której Rzeczpospolita Polska, sama i bez niczyjej natychmiastowej, konkretnej pomocy wytrzymywała huragan niemieckiego ataku, wolno nam Polakom, a wypada i cywilizowanemu światu sporządzić pewien bilans, dokonać pewnej oceny wydarzeń, jakie zaszły.

Uczynić to nawet trzeba: Po dziś dzień, tam gdzie by się tego spodziewać nie należało, pęta się jeszcze na Zachodzie głupia legenda, że wojna jaka obecnie się toczy, to wojna, w której ludy Zachodu walczą o Polskę. Po roku byłaby chyba pora, by ludzie uświadomili sobie, że Gdańsk, Pomorze czy w ogóle Polska był to dla Hitlera jedynie *pretekst*, jedynie *pozór*, że zbrojenia niemieckie były obliczane od początku, wbrew pacyfistycznym ględzeniom zachodnich lewicowców, na zmierzenie się z wielkimi imperiami, tymi co mają naftę i zboże, żelazo i kauczuk, a nie z tymi, co na przeludnionej wsi sieją żyto i sadzą kartofle. Ambicje zaborcze niemieckie były to od początku ambicje na skalę globalną. Wojny tej Niemcy *potrzebowały*, wojny tej *chciały*, wojny tej *szukały*.

Spodziewały się z razu, że okazję do tej wojny da wkroczenie do republiki austriackiej, tego wersalskiego noworodka z 1918 roku, tego pupila Ligi Narodów. Spodziewały się potem, że wojna ta może wybuchnąć o Czechosłowację, kraj uważany w Europie za szczególnie umiłowane dziecię Wielkich Demokracyj Zachodu. Tymczasem jedynym państwem, jakie pochodowi niemieckiemu w Europie stawiło czoło, pierwszym, które podjęło walkę z siłami jakie w świecie szerokim niosą zagładę demokracji była Polska.

Ten fakt miał niewątpliwie znaczenie dziejowe. Tego faktu nic już nie zmieni, ani nikt nie przekręci: *Za demokrację* nie bił się ani Wiedeń Ligi Narodów, ani Praga demokracji powojennej. Biła się Polska, pierwsza Polska, jedynie Polska.

* * *

Zdawało by się, że po *straszliwej ofierze*, jaką Polska w tej walce poniosła wolno by nam było oczekiwać pewnej rewizji pojęć.

Przez lat dwadzieścia istnienia *Polsce ciągle ktoś coś miał za złe*. Polsce miano za złe, że żąda Śląska i Mazurów Pruskich, choć to był kraj polskiego robotnika i chłopa; przedkładano nam, że od stuleci należy historycznie do Niemiec.

Polsce miano za złe, że żąda ziem za Bugiem, aczkolwiek te ziemie od stuleci należały historycznie do Polski, aczkolwiek mieszkało tam kilkanaście milionów rdzennie polskiej ludności, aczkolwiek pozostawienie tych ziem ZSRR było zdaniem ich na pastwę nędzy i terroru.

Polsce miano za złe rozruchy antysemickie; wyolbrzymiano ich rozmiary, ale zapominano, że jeśli na ziemiach polskich pojawił się antysemityzm, to był on skutkiem niewoli, wpływu rosyjskiego, to znaczy skutkiem tego, że od Kongresu Wiedeńskiego w r. 1815-tym poprzez cały wiek XIX-ty liberalne mocarstwa Zachodu *nie chciały* stworzyć wolnej Polski, *oddały* ją Rosji, byle utrzymać przy życiu jeszcze na lat kilkadziesiąt urojoną niepodległość Saksonii.

Wreszcie miano Polsce za złe ograniczenie demokracji. Nie będziemy tu bronić ani Brześcia, ani Berezy i niżej podpisany w swoim czasie wyrażał pisarsko swój protest przeciw temu systemowi. Ale warto też zauważyć, że zanik form parlamentarno — demokratycznych był procesem, który dotknął nie tylko Polskę. Było to zjawisko ogólnoeuropejskie, kryzys niestety wcale nie płytki. W Polsce nie dał on też w rezultacie żadnego "faszyzmu." Dał jedynie rządy policyjne, mechaniczne, bezduszne, rządy cenzury, rządy donosu, rządy biurokracji. Były to rządy szkodliwe i smutne, ale nazywanie ich faszyzmem jest dowodem, że ten co je tak nazywa nie bardzo sam wie, co to jest i na czym polega ustrój faszystowski. Ba! Konstytucja, jaką wreszcie Polska sanacyjna otrzymała wzorowała się w swym wzmocnieniu władzy wykonawczej nie na nowej konstytucji faszystowskiej, ale na . . . . amerykańskiej. O ile wiemy władza Prezydenta Roosevelta jest olbrzymia, ale nikt jej jeszcze nie nazwał faszystowską.

Rumunia obrotnego Titulescu, Jugosławia centralistycznego króla Aleksandra, Austria korporacyjnego Schuschnigga, nie mówiąc już o Czechosłowacji prezydenta Benesza, wszystkie te państwa, w których nie wszystko było znowu tak zupełnie i absolutnie demokratyczne, zawsze cieszyły się znacznie, znacznie większymi łaskami Zachodu. Wielki kapitał wielkich demokracyj okazywał znacznie większe zainteresowanie ich bogactwami przyrodzonymi, niż bogactwami przyrodzonymi Polski.

Toteż w ciagu tych lat dwudziestu kapitały mocarstw Zachodu przyczyniły się walnie i do rozbudowy Skody, wytwórni wspaniałych armat i doskonałych bombowców; i do wspaniałego powiększenia produkcji jugosławiańskiej miedzi, kruszcu tak niezbędnego do wojny; i do spotęgowania wierceń naftowych w rumuńskiej Ploesti, która jest największym w Europie całej po sowieckim Baku źródłem owego cennego paliwa, bez którego nie mogły by się poruszać zmotoryzowane dywizje— niemieckie, bez którego nie mogłyby się odbywać loty nocne bombowców — niemieckich, ciężkich.

Ze wszystkich nowych państw europejskich powstałych w roku 1918—odliczywszy chyba bałtyckie drobiazgi—Polska stała *na szarym końcu* i w oczach demokracyj Zachodu i w oczach zachodniego kapitału. Może warto postawić dziś pytanie *jak bardzo* przydały się Zachodowi te wkłady w Czechach i Jugosławii, pożyczki w Rumunii, subsydia wielokrotne Austrii, a zarazem zastanowić się nad tym, czy gdyby od 1918 roku nie panował jeden ciąg pretensyj, wyrzutów, żalów do nieszczęsnej, dźwigającej się z półtora wieka niewoli i ze zniszczenia sześciu lat wojny Polski, a tylko zrozumienie, że należy jej umożliwić silne i zdrowe odbudowanie, bieg historii nie poszedł by może fortunniej w roku 1939-tym i 1940-tym? Fortunniej nie tylko dla Polski, nie tylko dla Zachodu, nie tylko dla Europy, ale przede wszystkim dla . . . demokracji?

* * *

Mali ludzie, małe zawiści, małe intrygi, jakie wtedy rządziły naszym kontynentem sprawiły, że było inaczej. Ale w chwili krytycznej, gdy po latach "tłustych" przyszły "chude," Polska nie zawiodła Zachodu. Nie uległa niemieckim namowom pochodu na Rosję. Sama jedna wytrzymywała niesłychany ciężar napaści, nieprzysposobiona przemysłowo, niewsparta orężnie. Dziś, po świeżym przykładzie francuskim, można stwierdzić bez cienia przesady, że wytrzymała go znakomicie, że jeśli były błędy, były winy —ciężkie błędy, olbrzymie winy, to bez błędów i bez win nie jest nikt na tej ziemi, a już zwłaszcza nikt z tych, co w ostatnich latach rządzili Europą.

Na emigracji wystawiła 100,000 wojska, które miało, zdaje się, że niemałe zasługi w jedynym szczęśliwym epizodzie dotychczasowej wojny—zdobyciu Narwiku, i trupami swych dwuch bohaterskich dywizyj osłaniało smutny odwrót rozbitej armii francuskiej.

Ta sama armia dzisiaj w gościnnej Szkocji leczy swe rany i po raz trzeci formuje się do dalszej walki.

Jej eskadry lotnicze we wrześniu 1940 roku, w rocznicę tragicznego miesiąca, w którym darmo nasze oczy wyglądały na niebie polskim *innych* samolotów *prócz* niemieckich, osłaniają dziś stolicę Wielkiej Brytanii.

* * *

Sto lat temu na Zachodzie Europy żyli ludzie wielkiego ducha i wielkich mózgów. Burke i Lamartine, Mazzini i Michelet. Ówczesna Polska w znacznie mniejszym stopniu od obecnej przyczyniła się była w 1794 i w 1831 do obrony wolności Zachodu przed absolutyzmem królów. A jednak jej wysiłek był oceniony przez ówczesną elitę umysłową i polityczną Zachodu lepiej, pełniej, słuszniej, niż ma to niestety miejsce dzisiaj. Nie było zastrzeżeń, niedomówień, oglądań się na zaborców Polski, pomawiań narodu polskiego o faszyzm, wzdychań, że nie jest "naprawdę demokratyczny." A przecież, powtórzmy to raz jeszcze, ponieśliśmy dziś straty znacznie większe, prowadzimy walkę znacznie cięższą, zatrzymaliśmy na własnym ciele pierwszy impet furii germańskiej, jak nigdy przedtem.

Dlaczego wtedy—*tak*, a dzisiaj—*inaczej*?

Ha, być może dlatego, że tamto—to był wielki wiek Europy, *wielki* wiek Zachodu, wielki wiek demokracji, a w tej demokracji wiek wielkich ludzi: wtedy jeszcze czyjeś przywiązanie do ideałów mierzyło się nie na tonny propagandowych broszur, a na czerwień przelanej krwi.

Ksawery Pruszyński

"Ataki niemieckie spotykają się z oporem brytyjskich eskadr myśliwskich i są prawie zawsze rozbijane. Straty niemieckie w zestawieniu z naszymi wynoszą przeciętnie 3 : 1 *w maszynach, a* 6 : 1 *w pilotach.*

Te wysiłki Niemców, zdążające do zapewnienia sobie panowania nad Anglią w powietrzu, stanowią, rzecz oczywista, istotę całej wojny. Jak dotąd, wysiłki te zdecydowanie zawiodły. Kosztowały one Niemców bardzo drogo, my zaś czujemy się silniejsi i faktycznie jesteśmy o wiele mocniejsi obecnie, aniżeli byliśmy na początku walk powietrznych w lipcu.

Nie ulega wątpliwości, że Hitler zużywa swoje lotnictwo wojenne w bardzo znacznym stopniu i że jeżeli będzie ten system kontynuował przez szereg tygodni, zużyje i zniszczy istotną jego część. To zapewni nam znaczną przewagę. . . .

Wszyscy obywatele brytyjscy winni wykonać swój obowiązek, zachować się z godnością i ostrożnością. Flota brytyjska, lotnictwo i armia są w pogotowiu. Nasze brzegi są znakomicie ufortyfikowane i silnie zabezpieczone. Za nimi stoi zaś armia w pogotowiu do ofensywy, armia większa, aniżeli kiedykolwiek w naszej historii. Posiadamy również ponad półtora miliona straży krajowej, która jest równie dobra, jak grenadierzy gwardii. Wszyscy są gotowi do walki o każdą piędź ziemi brytyjskiej, w każdej wiosce i na każdej ulicy.

Bezwzględne, umyślne i okrutne bombardowanie Londynu stanowi, rzecz jasna, część składową hitlerowskiego planu inwazji. Spodziewa się on, że przez wymordowanie znacznej liczby ludności cywilnej, kobiet i dzieci, steroryzuje mieszkańców potężnej stolicy Imperium, że uczyni z niej ciężar dla rządu, a w ten sposób odwróci uwagę naszą od najazdu, który przygotowuje. Zna on bardzo mało ducha narodu brytyjskiego!

Ten zły człowiek, to wcielenie niszczycielskiej nienawiści, ten potworny wytwór dawnych błędów i hańby, chce teraz złamać nasz naród wyspiarzy rozmyślnym mordowaniem i niszczeniem. Doprowadzi tylko do tego, że ogień w sercach brytyjskich rozpali się jeszcze jaśniejszym płomieniem i będzie gorzał dłużej i piękniej, aniżeli wszystkie pożary, wzniecone przez niemieckiego zbrodniarza. Ogień ten tak długo będzie płonął, aż ostatnie ślady tyranii hitlerowskiej zginą z powierzchni Europy, i dopóki stary i nowy świat nie połączy się dla odbudowania wolności."

(Z przemówienia Winstona Churchilla w Izbie Gmin dnia 11-go września b.r.)

Szkic sytuacyjny nr. 2

Gdy staramy się dokonać przeglądu wypadków dni ostatnich na rozmaitych teatrach wojny, stwierdzamy, że z miejsca i urzędu pierwsze miejsce w tych rozważaniach należy się Londynowi.

ATAK NA SERCE IMPERIUM

Niemieckie poczynania powietrzne w stosunku do Anglii przechodziły różne fazy, mody i zwroty. Atakowano żeglugę, co należało do programu t.zw. blokady Anglii, akcji równie ambitnej, jak, w dużej mierze, papierowej, skoro Rzeszy do skutecznego blokowania Anglii brakuje istotnej broni: floty. Zagadnienie blokady przy pomocy łotnictwa nie zostało jeszcze rozwiązane. Z kolei uderzenie niemieckie z powietrza poszło przeciwko miastom pobrzeża, portom, lotniskom południowo-wschodniej i wschodniej połaci kraju. Z bombardowania obiektów wojskowych, względnie celów, które można by z biedą podciągnąć pod to miano, lotnictwo niemieckie, groźna *Luftwaffe* przeszła na bombardowanie ludności cywilnej, na typowy terror powietrzny, próby siania paniki. Wreszcie z bombardowania w ciągu dnia *Luftwaffe* przeszła na bombardowania nocne, które stanowiły dotąd monopol angielski.

Tego rodzaju zmiany i przeskoki mają w sobie pewną logikę, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wygląda to kapryśnie a może nawet niecelowo. Po prostu *Luftwaffe* starała się dotrzeć do słabego punktu Anglii. W ciągu dnia opór pościgowców okazał się zbyt silny, straty zbyt poważne. Loty masowe *Luftwaffe* zapłaciły ciężki haracz na rzecz *Spitfire*'ów, *Hurricane*'ów i *Defiant*'ów. Formacje niemieckie rozrywały raz po raz sprawne, szybkie, zwinne pościgowce brytyjskie, smukłe w sylwecie, drobne, o niewielkiej powierzchni—a zatem tak trudno pochwytne dla działek niemieckich bombowców czy karabinów maszynowych myśliwców nieprzyjacielskich, znacznie masywniejszych od angielskich.

Nieprzyjaciel zmienił raz jeszcze metody: dodał bombowcom silne asysty pościgowców, ażeby wiązały one siły angielskie, podczas gdy bombowce będą mogły dobierać się do swoich celów. Ale i ten sposób nie dał spodziewanych wyników: Anglicy rzucili do walki rezerwy aparatów, które starczyły zarówno na zwarcie się z pościgowcami, jak i na nękanie bombowców.

W tych warunkach Niemcy doszli do wniosku, że najlepszym, najbardziej ekonomicznym sposobem będzie przejść na bombardowanie nocne. Szkolili do tego pilotów w czasie tzw. *nuisance raids*, kiedy to nad Londynem i nad Anglią unosiły się samoloty niemieckie całymi nocami, odbywając osobliwą karuzelę. Wreszcie, gdy tych pilotów uzyskano odpowiednią ilość, rozpoczęło się bombardowanie Londynu w nocy.

Dlaczego Niemcy nie używali systemu bombardowania nocnego? Albowiem czuli się dotychczas w Europie bezkarni: nie napotykali na odpowiedni opór, mogli działać skutecznie w ciągu dnia. Wiedzieli dobrze, że bombardowanie dzienne daje najlepsze szanse bombardowania precyzyjnego; w ciągu dnia można bombardować najlepiej takie objekty, jak węzły kolejowe, zakłady przemysłu wojennego, lotniska—a dalej skupienia wojsk, żeglugę itd. Bombardowanie nocne nadaje się przede wszystkim do celów siania paniki, łamania tzw. *morale*, niszczenia na ślepo. Bombardowanie nocne jest najgroźniejsze dla wielkich miast: gdziekolwiek wyląduje bomba, w coś trafi.

Niemcy rzucili swoją *Luftwaffe* nad Londyn w takiej oto rachubie:

Londyn jest największym miastem świata, Londyn jest stolicą największego Imperium świata, Londyn jest olbrzymim centrum handlu. Porażenie Londynu opłaca się.

I oto noc w noc bombowce niemieckie—raz typu, że tak powiem czystego, jak mieszanego tzn. bombowce-myśliwce — szybują nad Londynem. Ilość samolotów niemieckich unoszących się nad stolicą Imperium jest zmienna: raz jest ich około 50, raz do 300. Wydaje się, że samoloty niemieckie mają swoje "bramy wejściowe" i swoje szlaki. Jeżeli zapora ogniowa jest zbyt silna w jednym punkcie, wybierają one inny punkt dla "wjazdu nad Londyn." I co noc trwa karuzela niemiecka: samoloty nieprzyjacielskie krążą, spadają na cele, jeżeli tylko zelżeje gdzieś zapora ogniowa dział przeciwlotniczych (z angielska *A.A.*); bomby spadają na wszystkie dzielnice — ofiarami padają magazyny, szpitale, schrony, domki biedoty, zabytki, kościoły. Każda dzielnica ma już wyrwy w budynkach, każda większa ulica poznaczona jest odpryskami, utraciła szyby. Londyn cierpi.

HOME FRONT

Ludność cywilna znalazła się w pierwszej linii ognia. Straty armii lądowej są drobne w porównaniu ze stratami ludności Londynu. Nawet straty w powietrzu są mniejsze. Tysiące ofiar zbierają bomby nocne. Mnożą się szeregi ludzi bezdomnych, ewakuowanych przymusowo z domów; legiony tych, co stracili dobytek.

Okazuje się, że wojna w Angli dotyka przede wszystkim cywila, ów *Home Front*, front krajowy czy wewnętrzny. Dowodzi, że pojęcia dawnych wojen, kiedy piechur w linii był najwięcej wystawiony na niebezpieczeństwo, wymagają gruntownej rewizji. Wszystko wskazuje na to, że wojna światowa była łabedzią pieśnią piechura. Piechur, sól ziemi, przechodzi powoli w wojnie na skalę zachodnią, w dziedzinę czynnika pomocniczego raczej aniżeli czynnika pierwszoplanowego. Odegra on niewątpliwie swoją rolę jeszcze w Azji, Afryce (w ograniczonej mierze), na rozłogach Rosji europejskiej, może w Turcji czy na Bałkanach. Ale wielka era jego skończyła się: maszyna luzuje go, maszyna zajmuje pierwsze miejsce.

Wojna obecna to przedewszystkiem czołg i samolot, samochód pancerny, motocykl. Lotnictwo stało sie bronią czołową, w Anglii na razie niemal wyłączną. Anglia jest też n o w y m terenem walki, nowych doświadczeń wojskowych. Powstaje bowiem pytanie: czy s a m o lotnictwo potrafi przesądzić wynik wojny, czy lotnictwo jest j u ż bronią samowystarczalną?

Wydaje się, że tak jeszcze nie jest. Dlatego trzeba by logicznie wnioskować, że Hitler m u s i spróbować inwazji. Teraz albo na wiosnę 1941 r.—na wzór ataku na Holandię i Belgię, który opracowany był już w listopadzie 1939 a potem w lutym 1940 i został odłożony do maja 1940.

Zanim dojdzie do prób inwazji, ludność cywilna *Home Front*'u Anglii, cierpieć będzie poważnie. Znosi ona ze stoicyzmem swoją dolę. Znosi ją mimo faktu, że zaniedbano budowy głębokich schronów (*deep shelters*), że miasto Londyn jest fatalnie zagęszczone, źle budowane, domy liche, piwnice prymitywne albo słabe. Śmierć zbierać będzie straszliwe żniwo w dżungli domów londyńskich.

Żołnierzem tej wojny jest lotnik w niebie i cywil na ziemi. Cywila w nocy broni zapora dział przeciwlotniczych, na razie niewiele skuteczna (poza działaniem podnoszenia na duchu cywila oraz pewnym mieszaniem szyku nieprzyjaciela), reflektory co raz rzadziej przechodzą do acji, zapora balonowa mimo podwyższenia pułapu nie może spełnić w nocy swojego zadania. Pojawia się konieczność stworzenia nowej broni: pościgowiec nocny czy coś innego?

Cywil na ziemi chroni się, pracuje w fabrykach na nocne zmiany, działa w *Fire Brigade*, działa w *ARP*, służbie sanitarnej, wszędzie. Słusznie wysunięto żądanie, aby cywil w tej wojnie z powietrza, wojnie niewidzialnej przeważnie, uzyskiwał odznaczenia, które dotychczas przypadały w udziale żołnierzom.

NAJAZD: BĘDZIE CZY NIE?

Winston Churchill napewno by nie straszył własnego narodu ostrzeżeniami, że najazd niemiecki jest dalej możliwy a *RAF* nie bombardowało by noc w noc próżni w Boulogne, Calais, Dieppe, Ostendzie, w Holandii, Belgii, północnej Francji—gdyby nie było poważnych oznak pogotowia niemieckiego w portach Kanału La Manche i dalej ku północy czy ku południowi. Niemcy przygotowują się na tych terenach bardzo starannie: artyleria ciężka jest na pozycjach, ta artyleria, która w tej wojnie niewiele stosunkowo oddała salw—lotniska są opanowane, rozszerzane, Niemcy budują nawet nowe w Holandii i Belgii. Łodzie płaskodenne, ścigacze, łodzie motorowe, stateczki dla żeglugi przybrzeżnej, małe jednostki rozmaitego rodzaju—wszystko to zaczaiło się po portach Francji, Holandii, Belgii, po basenach, nadbrzeżach, molach. Trzeba wykurzać te jednostki, zabrane setkami, jeżeli nie tysiącami z kanałów Nadrenii, Holandii, Belgii, trzeba walić bombami w barki, łodzie, ładunki, statki zaopatrujące, amunicyjne. Robota jest ogromna, tak ogromna i tak nieodzowna, że chwilowo działalność bombowców angielskich nad Rzeszą samą musi nieco ulec osłabieniu.

Pogotowie niemieckie może być na teraz—najazd odbyć się może we wrześniu, ale równie dobrze w czasie aż do końca listopada, skoro w tym okresie są dni spokoju na Kanale La Manche i pięknej pogody w Anglii—a może dopiero na wiosnę 1941. Zasadniczo barki, łodzie, ludzie, motory, działa, wszystko to może czekać. Już raz czekało. Możliwe jest, że niemiecki sztab generalny doszedł do wniosku, że do wiosny 1941 opanuje dopiero w pełni wszystkie skomplikowane zadania jakie stawia najazd na Anglię.

HISZPANIA

Tymczasem polityka niemiecka rzuca na stół hiszpański karty i pokusy. Hiszpania jest zbiedniała, wyniszczona, słaba: ale dlatego właśnie może stać się przedmiotem targu, terenem przemarszu wojsk niemieckich, czy włoskich, czy mieszanych—ku Portugalii, ku Gibraltarowi.

Hiszpania jest ważnym punktem w szkicu sytuacyjnym.

EGIPT

Uderzenie włoskie na Egipt już się rozpoczęło. Anglicy przyznają, że Graziani idzie szybko. Okazuje się, że—jak to już raz podkreślaliśmy na tych łamach—wojna błyskawiczna jest czymś możliwym nawet na piaskach Afryki. Tak było w Abisynii, niedawno w Somali Brytyjskim, teraz w Egipcie.

Anglicy oświadczaja, że przyjmą walkę na serio dopiero na linii Nilu. Liczą na wyczerpanie się nieprzyjaciela w przemarszu przez 700 czy 800 km. pustyni. Lotnictwo brytyjskie co raz żywiej działa w Afryce, flota ostrzeliwuje pobrzeże Libii, kolumny marszowe włoskie idące pasem nadbrzeżnym Egiptu. Wschodnia połać Morza Śródziemnego rozpala się powoli.

ŻADNEJ PRZERWY

Nie spodziewajmy się wygodnej jesieni i zimy na Zachodzie, spoczynku na wzór 1939. Wojna będzie szła. Niewidzialną śmierć za dnia i w nocy będzie spadała na Anglię mimo mgieł i chmur, dżdżu i ziąbu. Na Bliskim Wschodzie zaczyna się najlepsza pora dla kampanii.

Maszyna wojenna będzie pracować ostro w jesieni i zimie 1940.

Zbigniew Grabowski

ANGLIA MUSI ZWYCIĘŻYĆ

W dobie dzisiejszej bardziej niż kiedykolwiek można sobie wyrobić pojęcie o ludzkich nerwach. Ktoś, kto jest najspokojniejszy w czasie nalotu nocnego, może w ciągu dnia popuścić wodze swej fantazji, czy pesymizmowi.

Niektórym zdaje się, że wiedzą więcej od innych dzięki swym "informacjom z pierwszego źródła," choć często źródło nie jest pierwszym, a informacja—po prostu zniekształconą plotką. Słyszy się na przykład takie nagromadzenie "faktów":

—Jest bardzo źle, bo Niemcy bombardują Anglię, bo wzniecają pożary w Londynie, bo przygotowywują inwazję, bo zablokowali Anglię, bo *jeden* samolot angielski został omyłkowo zestrzelony przez RAF . . .

Mówiący te słowa, nie uprzytamnia sobie znaczenia bombardowania Niemiec przez samoloty angielskie, polskie, kanadyjskie i t.d.; nie widzi trudności inwazji i małych szans powodzenia podobnej imprezy, zwłaszcza teraz; nie uprzytamnia sobie, że w Anglii niczego nie brak, co jest chyba najlepszym dowodem panowania Anglii na morzu, o czym przekonali się najlepiej ci, którzy przybyli do Anglii z Francji różnymi drogami.

Nie trzeba być oczywiście przesadnym, bezkrytycznym optymistą. Mogło by to być wręcz szkodliwe. Natomiast nie wolno być pesymistą: w pojęciu Anglika równa się to pracy dla "Piątej Kolumny." Działa ona zresztą właśnie tą drogą: szerzy pesymistyczne "informacje" za pośrednictwem odpowiednio rozmieszczonych agentów; wykryto właśnie takiego w jednym ze schronów londyńskich w czasie nalotu nocnego.

W osądzaniu sytuacji trzeba sobie powiedzieć, że tylko bardzo, ale to bardzo nieliczne jednostki znają "prawdę," jeśli w ogóle "prawda" istnieje. A w ogóle nikt nie może przewidywać, tak samo, jak absolutnie nikt nie mógł przewidzieć pewnych wydarzeń. Jeśli ten i ów coś przepowiadał, i istotnie to się sprawdziło, to było to wynikiem albo przypadku, albo . . . intuicji. Nie negujemy błędów w posunięciach rządów czy sztabów poszczególnych państw. Jednakowoż z dzisiejszych rozmów wynikało by, że każdy z naszych rozmówców wiedział, widział, przewidywał, radził w porę, ale jakoś odnośne rządy składały się wyłącznie z kretynów. Takie uproszczenie sytuacji, taka demagogia kawiarniana pozwala wprawdzie na fajerwerki w dyskusji, lecz jest szczególnie szkodliwą.—I dlatego konieczne jest oparcie swego poglądu na sytuację o przesłanki niezbite, a natury raczej ogólnej.

Tak: ANGLIA MUSI ZWYCIĘŻYĆ, a nie tylko: "powinna zwyciężyć."

Musi zwyciężyć, bo to właśnie ona pierwsza zaczęła naprawdę bombardować Niemcy, dając tym smak wojny nieznany od bardzo dawna ludności niemieckiej—rodzinom bezkarnie hasających dotąd nad bezbronnymi ziemiami lotników niemieckich; niszczą również Anglicy jednocześnie przemysł niemiecki, co do czego chyba nikt nie ma wątpliwości. I podczas gdy Anglia zaopatrywana jest przez swe Dominia i Amerykę, Niemcy, wobec—i mimo—blokady, otrzymują tylko pewne surowce i to w ilości napewno niedostatecznej. Szkody wyrządzone więc przez bombardowanie Niemiec są napewno proporcjonalnie większe, niż szkody wyrządzone Anglii.

Nie będziemy powtarzali znanych argumentów, że łatwiej orientować się lotnikom naszym nad Niemcami, niż Niemcom nad Anglią. Choć zanotujmy obiektywnie, że Niemcom teraz bliżej do Londynu, niż Anglikom do Berlina. To nie ma jednak znaczenia decydującego, i na tym polega wielki błąd w rozumowaniu wodzów hitleryzmu: wyobrażają sobie, że niszcząc domy robotniczej ludności Londynu, czy nawet bombardując fabryki, niszczą tym samym Anglię, czy ducha Wielkiej Brytanii. Nie będziemy tu wywodzili statystyk wykazujących niewielkość zniszczenia Londynu (patrz ostatnia mowa W. Churchilla, nawet z uwzględnieniem wzmożenia ataków nocnych w ciągu dni następnych). Zauważmy raczej, że te dziesięciogodzinne, conocne naloty na Londyn, że bombardowanie szpitali, szkół, domków, zrzucanie rakiet, bomb świszczących, zapalających, zegarowych i bo ja wiem jakich jeszcze—nie naruszyło ducha Anglików. Przeciwnie: dopiero teraz widzimy, jak wielka jest potęga i spokój Anglii.

Anglia, posiadająca tak wielkie wyrobienie obywatelskie, sprzeciwiające się robocie piątej kolumny, musi zwyciężyć. Spędzanie wielu godzin w "shelterach" jest bardzo pouczające, zwłaszcza dla tego, kto miał okazję przysłuchiwania się rozmowom w schronach w czasie nalotów w innych państwach. Anglicy żartują, śpiewają chóralnie i solo, nie odbierają sobie siły, ale wzajemnie dodają. Anglicy, przysłowiowi dla nas sportowcy, nawet do wojny podchodzą jako do sportu. Zacierają ręce z radością:

—Dziś 53 : 19! Dobry wynik!

Pesymista czyta te same cyfry i biada:

—Stracono aż dzie-więt-naście!

—Tak, ale oni stracili 53!

—Tylko?!

Przecież nie można sobie wyobrażać, że stale Niemcy będą tracili w stosunku 150 : 20. To było by zbyt piękne.

—Ale teraz uganiają w ciągu tylu godzin nocy niemal że bezkarnie nad Londynem!

Na to możemy odpowiedzieć, że gdy Niemcy puścili swe osławione miny magnetyczne, w umysłach wielu zapanował popłoch; tymczasem Anglicy bardzo szybko dali sobie radę z wynalazkiem niemieckim i ich straty morskie ponownie spadły. Ufajmy technikom i wynalazcom angielskim i sprzymierzonym: ich wiedza nie stoi niżej od niemieckiej; reszta to kwestia czasu (—może już tylko dni), potrzebnego na realizację; niepowodzenie chwilowe jest tylko chwilowe.

Na jedno musimy zwrócić uwagę: podczas gdy inne państwa z zamkniętymi oczyma, zupełnie biernie, czekały na pożarcie przez hitleryzm, Anglicy czasu nie zmarnowali i nie marnują. Rzecz dosyć dziwna: fabryki niemieckie nie były bombardowane przez lotnictwo francuskie. Co więcej: przemysł metalurgiczny francuski i niemiecki-fabryki położone po obu stronach Renu nie zaprzestały pracy aż do ostatnich dni wojny, choć odnośne fabryki były pod obstrzałem—po obu stronach—nie tylko armat, ale chyba i karabinów maszynowych. . . . Również Włosi nie bombardowali fabryk francuskich, a fabryki włoskiego przemysłu wojennego podległy bombardowaniu dopiero przez samoloty angielskie.—To są rzeczy, o których będziemy mogli dyskutować dopiero za lat kilka, na podstawie dokumentów, które zostaną napewno po wojnie ujawnione.

W Anglii—nie ma zakłamania. Prasa mówi stosunkowo dużo prawdy, nawet niemiłej. Cenzury nie ma. Wolno podawać nawet niemieckie komunikaty o bombardowaniu Anglii, co w wielu innych państwach było nie do pomyślenia, a w Niemczech za słuchanie komunikatów radiowych zagranicznych grozi kara śmierci! Lub taki drobny przykład: ulotki zrzucane przez Niemców na ziemię innych państw należało natychmiast zanosić do policji, a czytanie ich i powtarzanie treści uważane było za surowo karane przestępstwo; tymczasem w Anglii ulotki takie są sprzedawane na pamiątkę z licytacji, a dochód przeznaczony na Czerwony Krzyż! . . .

Anglia musi zwyciężyć jeszcze z jednego względu: leży to w interesie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ten jeden argument jest właściwie wystarczający. Znawcy zakulisowych finansów świata wiedzą, że Ameryka angażowała w Anglii, a nie w Niemczech, ogromne kapitały od chwili wybuchu wojny, i pieniądze te muszą się zwrócić. Ameryka musi więc dalej angażować się. To nie tylko filantropia, nie tylko sentyment zwycięży, lecz interes i obawa o własną skórę. Spójrzmy na tabelę giełdy nowojorskiej: rozpoczęcie przez Niemcy gwałtownych bombardowań Londynu wywołało raptowny nie spadek, lecz podniesienie kursów papierów amerykańskich zainteresowanych w Anglii! . . . Oto prawda. Oto dlaczego Ameryka pośpiesznie dała Anglii 50 okrętów, dlaczego zbroi się, mobilizuje.

Że Londyn i Anglia ucierpiały, że setki osób cywilnych poniosło i poniesie śmierć—to nie zmienia postaci rzeczy. Wojna jest totalna. Rolę odgrywa tylko jedno: wynik ostateczny, zwycięstwo. Zwycięstwo Wolności, Prawdy, Uczciwości, Miłości, Etyki.

Oto dlaczego: ANGLIA MUSI ZWYCIĘŻYĆ!

Zygmunt Frenkiel

WOJNA NA BLISKIM WSCHODZIE

PRZYGRYWKI DO ROZGRYWKI

Do chwili, w której piszemy (18 września) śródziemnomorski teatr wojny jest mało czynny. Prawda, że wojska angielskie wycofały się z Somalii, którą Włosi zajęli i że Włochom udało się zająć pewne pograniczne punkty w Kenii i Sollum w Egipcie. Prawda, że wojska Grazianiego stoją na granicy Egiptu i na granicy Sudanu, gotowe do uderzenia. Ale Egipt jeszcze nie uznał się za napadnięty i rząd egipski do tej pory technicznie jest neutralny. Wojny egipsko-włoskiej jeszcze nie ma, choć bazy angielskie w miastach egipskich są bombardowane i, choć wojska angielskie stacjonowane w Egipcie czynią stale wypady do Libii, choć Sollum jest zajęte.

WŁOSI NIE PODEJMUJĄ WALKI NA MORZU

Ani liczba wojsk włoskich, będących pod rozkazami marszałka Grazianiego, ani liczba wojsk angielskich w Egipcie nie są znane, choć wiadomo jest, że siły włoskie są liczebnie przeważające. Brakuje więc ostatniego czynnika dla badania sytuacji. Istnieje jednak szereg innych elementów, na podstawie których można sobie stworzyć pewien obraz. A więc przede wszystkim wiadomo, że Włosi co najmniej dwukrotnie uchylili się od bitwy morskiej na Morzu Śródziemnym, to znaczy że mają świadomość, iż panami Wschodniego Morza Śródziemnego są Anglicy. Jest to moment niezmiernie ważny, albowiem panowanie na morzu oznacza możność posyłania posiłków. I istotnie wiadomo, że w ostatnich czasach zarówno flota angielska na Wschodnim Morzu Śródziemnym, jak i wojska lądowe w Egipcie zostały poważnie wzmocnione. Oto jeden minus pozycji włoskiej.

PŁONĄCE "ZAPLECZE" ABISYŃSKIE

Drugim minusem jest Abisynia. Jedna z armii marszałka Grazianiego ma uderzyć z Abisynii. Nie są to bezpieczne tyły. Przez cały czas panowania włoskiego ruchawki w Abisynii nie ustawały. Władza włoska rozciągała się właściwie jedynie na miasta i drogi. Wszędzie indziej panowała gerylasówka. Dzisiaj, gdy cesarz Haile Selassie jest na granicy abisyńskiej, i gdy dowóz broni dla powstańców nie tylko nie będzie tamowany przez angielskie władze w Kenii, ale będzie podsycany, wybuch wielkiego powstania jest więcej, niż prawdopodobny.

SKUTKI KAPITULACJI FRANCUSKIEJ

Trzecim elementem jest stanowisko kolonii i protektoratów francuskich. To, że w ogóle o ataku na Egipt może być mowa, Mussolini zawdzięcza jedynie kapitulacji francuskiej. Anglicy zmuszeni byli do opuszczenia Somalii, albowiem główny ciężar obrony miał podług pierwotnych planów spaść na Somalię francuską, ponieważ jedynym wielkim portem było francuskie Dżibuti. Poddanie się Somalii francuskiej musiało wywołać ten sam skutek, jaki wywołało podczas bitwy flandryjskiej poddanie się króla Leopolda — uniemożliwiło obronę. W stosunku zaś do Egiptu poddanie się Francji odsłoniło południową granicę i pozwoliło na rzucenie wszystkich sił skoncentrowanych w Libii na Egipt. Poprzednio bowiem Libia miała dwa fronty: front tunetański przestał istnieć. (Nawiasem mówiąc tym się tłumaczy obecna liczebna przewaga Włochów w Afryce.)

Jednakowoż pierwszy z tych zysków już został utracony. Jak wiadomo Francuska Afryka Równikowa, a przede wszystkim Czad opowiedziały się za jenerałem de Gaulle. Nie ma więc już możności tworzenia tam południowego frontu.

ZAWIKŁANIA W TUNISIE

A kto wie czy i drugi-poważniejszy zysk da się utrzymać. Obecna sytuacja w Tunisie jest niezwykle złożona. Podług warunków zawieszenia broni Tunis ma być kompletnie zdemilitaryzowany. I kropka. Innych warunków protokuł zawieszenia broni, zdaje się, nie zawiera. Wszyscy jednak w Tunisie wiedzą, że ta demilitaryzacja będzie jedynie wstępem do objęcia pełnej władzy przez Włochów. Nie tylko bowiem pamiętają, że oddanie Tunisu było jeszcze za czasów pokoju wyraźnie proklamowane, jako cel włoski, ale dzisiaj jeszcze mogą czytać w prasie włoskiej artykuły wyraźnie wskazujące na to, że objęcie Tunisu przez Duce jest jedynie sprawą czasu. Otóż dla mieszkańców Tunisu ta perspektywa zgoła nie jest nęcąca. Nie mówmy już o Francuzach, którzy zdają sobie dokładnie sprawę, że Tunis włoski oznacza ich wywłaszczenie. Nie mówmy tym bardziej o Żydach, którzy nareszcie zrozumieli, że nie ma różnicy między faszyzmem a nacjonal-socjalizmem. Ale i ci sami Włosi tunetańscy, prawie równie liczni, jak Francuzi, którzy stanowią podstawę pretensji Włoch do Tunisu są dalecy od tego, by sobie życzyć wcielenia Tunisu do Włoch. Przede wszystkiem znaczna ich część to zdeklarowani antyfaszyści, którzy w chwili, gdy Włochy wstąpiły do wojny gromadnie oświadczyli swą solidarność z Francją. Dla nich wejście Włochów było by katastrofą. Ale nawet bezbarwna większość włoska nie życzy sobie bynajmniej jarzma faszystowskiego.

ARABSKIE HISTORIE

A wreszcie Arabowie. I Hitler i Mussolini dbali bardzo o zdobycie świata arabskiego. Arabskie tłumaczenie "Mein Kampf" było rozrzucane w setkach tysięcy egzemplarzy. Liczyli na to, że uda się im zagrać na istniejącym przeciwieństwie żydowsko-arabskim. Dlatego też powstańcy arabscy w Palestynie zawsze mieli do rozporządzenia i pieniądze i broń z Berlina i Rzymu. Rachunek jednak zawiódł. Libia bowiem jest bliższa Tunisu, niż Palestyna. I w Tunisie wiedzą, że marszałek Graziani był katem Libii. Wiedzą, że szeików arabskich kazał strącać z aeroplanów na ziemię. I wiedzą, że na dwa lata przed wojną zaczęło się masowe sprowadzanie kolonistów włoskich do Libii, połączone z równie masowym wywłaszczaniem Arabów bez żadnego odszkodowania. Nastrój więc w Tunisie jest wyraźnie antywłoski. I to tłumaczy dlaczego w Tunisie nie ma jeszcze włoskich wojsk, dlaczego tymczasem jest mowa tylko o demilitaryzacji.

Czy jednak mimo tę chwilową ostrożność włoską, na przekór staraniom, aby go nie drażnić— Tunis nie drgnie? Czy tym, którzy w imieniu Pétaina rządzą Tunisem uda się zapobiec powtórzeniu tego, co się stało w Afryce Równikowej? Odpowiedzieć na to pytanie nie można. Ale sam fakt, że można je postawić, nie jest bez znaczenia.

NAFTONOŚNY IRAK

Egipt to jeden odcinek frontu. Panowanie nad Egiptem i nad kanałem Suezkim jest jednym z celów włoskich. Ale jest i drugi odcinek jeszcze ważniejszy. Odcinkiem tym jest Irak z jego niesłychanie bogatymi złożami naftowymi. Do niepodległego, ale z Anglią związanego sojuszem Iraku można dotrzeć po zdobyciu Egiptu przez Palestynę. Już dziś więc troszczą się Włosi i Niemcy o "piątą kolumnę" w Iraku i Palestynie. Zbombardowanie żydowskiego Tel Awiwu z jednoczesnym zrzuceniem na sąsiednią arabską Jaffę ulotek wzywających do powstania było najbardziej teatralnym objawem tej działalności.

STANOWISKO SYRII

Ale jest i druga droga: przez Syrię, tę samą Syrię, gdzie stała armia jenerała Weyganda armia, która miała bronić i Iraku, i Palestyny i nawet Egiptu. Otóż pozycja w Syrii jest podobna do sytuacji w Tunisie. I tam jest chwilowo jedynie komisja włoska pilnująca "demilitaryzacji." I ma przyjechać komisja niemiecka w tym samym oficjalnym celu. I tam ludność wie, że to są przygotowania do zaboru.

Syria była ośrodkiem ruchu panarabskiego. Syryjczycy stali zawsze na czele wszystkich ruchów arabskich. Poza tym zawsze istniał w Syrii silny ruch niepodległościowy. Syria była terenem mandatowym. To znaczy, że mandat francuski był tylko okresem przejściowym do niepodległości. Natychmiast po uzyskaniu niepodległości przez Irak, który poprzednio również był angielskim terytorium mandatowym, Syryjczycy gwałtownie poczęli się domagać zakończenia mandatu. I na, krótko przed wojną stanął układ francusko-syryjski. Niepodległość zdawała się już bliska. Nic więc dziwnego, że Syria dzisiaj nie chce wejścia Włochów, nie chce stać się kolonią włoską.

Nie jest więc wykluczone, że i Syria zerwie zawieszenie broni, że i ona pójdzie z wolną Francją. Faktem jest w każdym razie, że francuskie władze w Syrii, choć zdemobilizowały wojsko, wahają się przed wydaniem Włochom aeroplanów.

ZNAKI ZAPYTANIA

Wojna śródziemnomorska pełna jest znaków zapytania. A pytanie Pétain czy de Gaulle może okazać się z nich najważniejsze.

Czesław Poznański



Basen śródziemnomorski i Bliski Wschód

Modlitewnik żołnierski

Ukazał się ułożony jeszcze we Francji, staraniem Kurii Polowej W.P., oraz Wydziału Propagandy i Oświaty M.S.Wojsk., modlitewnik żołnierski. Ukazanie się jego zapełnia dotkliwie odczuwaną lukę w naszych wydawnictwach wojskowych.

Modlitewnik zawiera całokształt modłów i pieśni, jakie potrzebne są w życiu żołnierskim. Nosi piękny tytuł: "Z Bogiem za Wiarę i Ojczyznę." Wyjmujemy z niego "Dziesięcioro przykazań żołnierza polskiego." Autorem tych przykazań jest Antoni Bogusławski.

"*Tyś jest żołnierz polski, którego Bóg uratował z toni, aby nadal walczył za Ojczyznę.*

1. *Nie będziesz miał innych celów na ziemi, dopóki kraj wolności nie odzyska.*

2. *Wiedz, że, walcząc za Polskę, walczysz za wolność całej ludzkości.*

3. *Pamiętaj, że walka o wolność jest walką o wiarę i Boga.*

4. *Czcij Wodza twego i słuchaj jego rozkazów, abyś zwycięski do Polski powrócił.*

5. *Walcz niezłomnie i pomnij, że nie tyś napastnikiem.*

6. *Strzeż godności twych obyczajów, abyś nie splamił polskiego munduru.*

7. *Nie pokalaj się rabunkiem.*

8. *Bądź wierny przysiędze i prawdzie twego żołnierskiego sumienia.*

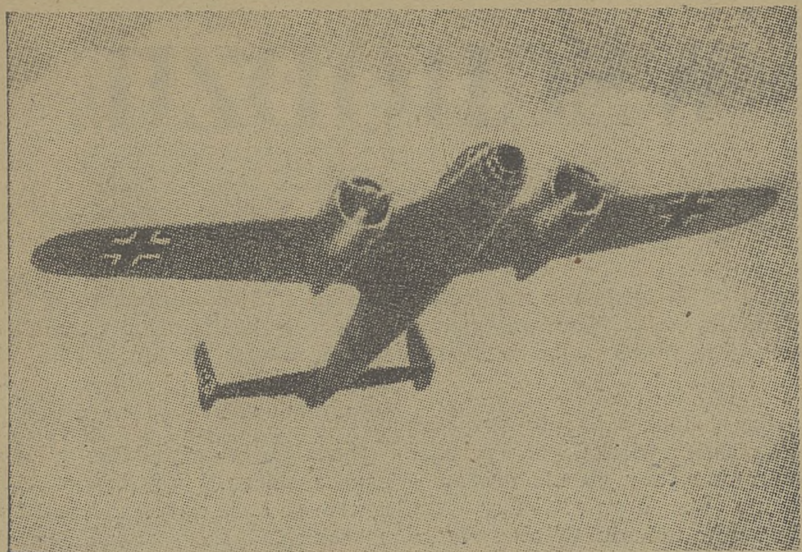
9. *Bądź dobrym towarzyszem broni dla sprzymierzeńców, którzy wraz z tobą za jedną sprawę walczą.*

10. *Pomnij, że walkę prowadzić trzeba do zwycięskiego końca.*

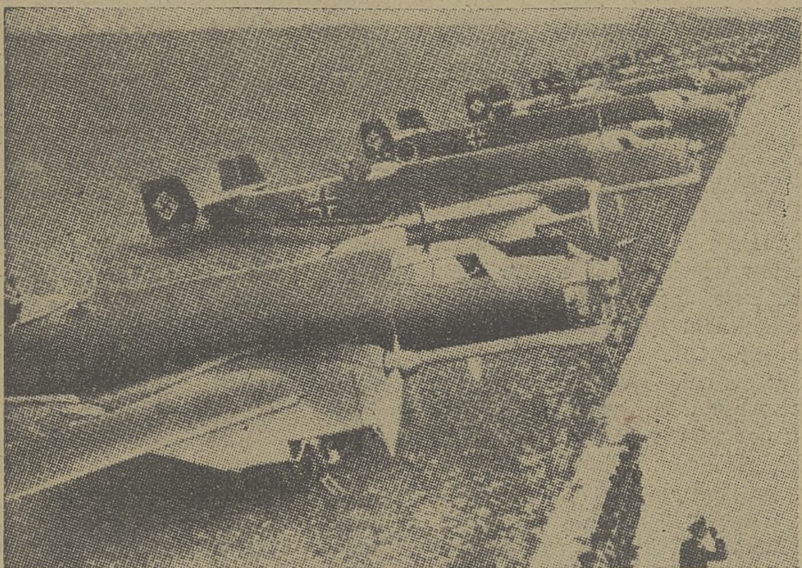
Niech Bóg ci doda sił w walce i błogosławi broń twoją, która jest bronią sprawiedliwego."

Wojna powietrzna

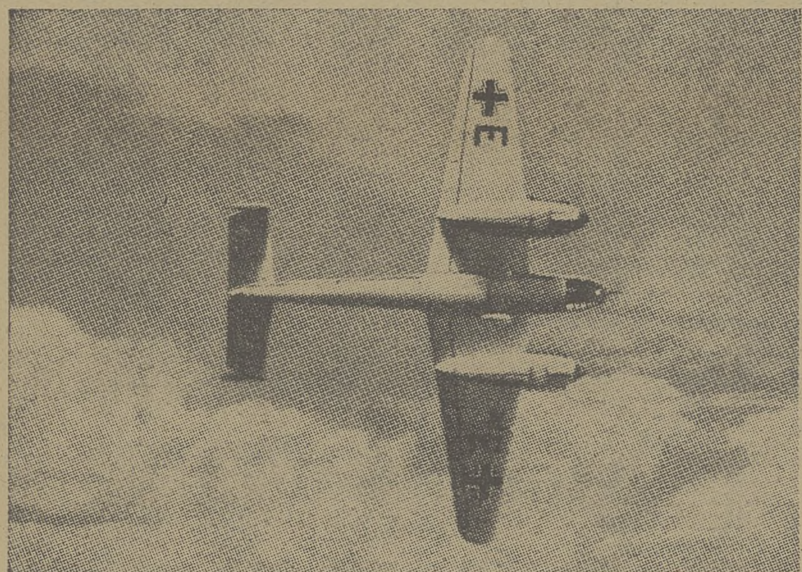
Siły przeciwników



Bombowiec niemiecki Do 17



Eskadra niemieckich bombowców Ju 86K



Bombowiec niemiecki Messerschm itt-Jaguar (pochodny od Me 110)

Zbyteczne jest już stwierdzać, iż o zwycięstwie w toczącej się obecnie wojnie rozstrzygnie przewaga sił lotniczych. Fakt ten został powszechnie przyjęty za pewnik.

Rozważając zagadnienie wojny powietrznej, warto przede wszystkim zastanowić się nad stosunkiem sił stojących naprzeciwko siebie flot powietrznych. Wyda się być może paradoksalne, iż łatwiej jest ocenić—przynajmniej na łamach prasy—siłę liczebną *Luftwaffe*, niż siłę *Royal Air Force*. Jest to jednak zupełnie naturalnym następstwem słusznej ostrożności, która nie pozwala na omawianie własnych tajemnic wojskowych, dopuszczając wszelkie domysły co do tajemnic wroga.

Istnieją dość ścisłe sposoby, pozwalające na obliczenie w znacznym przybliżeniu rozmiarów produkcji lotniczej każdego kraju. Oparte są one na ilości robotników zatrudnionych w przemyśle lotniczym, na ilości fabryk, spożyciu pewnych surowców, wreszcie zaś na danych wynikających z przebiegu wojny powietrznej. Jeśli dokonać obliczenia niezależnie na podstawie każdego z tych systemów, następnie zaś porównać osiągnięte w ten sposób wyniki, dojść można do względnie dokładnej oceny sił lotniczych danego państwa.

Siłę lotnictwa niemieckiego oceniano bardzo rozbieżnie. A więc "Aviation" w New Yorku pisze, iż "W ostatnich czterech latach Niemcy rozszerzyli kadry swego lotnictwa z 4.000 do 31.000 maszyn." Redaktor lotniczy londyńskiego "Sunday Times" podawał niedawno cyfrę 18.000 samolotów. Z drugiej strony "Times" ocenia niemieckie straty od początku wojny na 5.000 aparatów.

Najlepiej sytuację ocenić pozwoli przegląd poszczególnych typów i rozmiarów ich wytwórczości. W niemczech istnieją cztery główne grupy przemysłu lotniczego: Messerchmitt, Heinkel, Dornier i Junkers.

Jeżeli chodzi o Messerschmitta, to już przed wojną produkcja jego fabryk w Augsburgu, Norymberdze, Regensburgu, Heiterblick i Erla oceniana była na 5 myśliwców dziennie. Od tego czasu zbudowano nowe fabryki i powiększono istniejące, tak iż produkcję 10 fabryk grupy Messerschmitt ocenić można na co najmniej 10 aparatów dziennie.

Jeśli chodzi o Heinkla, to jego zakłady w Oranienburg, które zwiedzali przed wojną eksperci amerykańscy i francuscy, wyrabiały już wówczas ponad 8 maszyn dziennie. Jeśli dodać produkcję fabryk Heinkla w Warnemünde i Rostock, oraz fabryki P.Z.L. w Mielcu, osiągamy dla koncernu Heinkel produkcję około 15 aparatów dziennie.

Produkcję olbrzymiego koncernu Junkersa znawcy oceniają na 25 maszyn dziennie. Już w roku 1938 czas potrzebny dla zmontowania Junkersa Ju 86 w zakładach w Dessau wynosił 8 godzin, co przy trzech pasach ciągłego montowania pozwalało na teoretyczną produkcję 27 maszyn dziennie w 24 godzinnym dniu pracy. Ponieważ planowane było zarazem zmniejszenie czasu potrzebnego na zmontowanie każdej maszyny, możliwości fabryk Junkersa osiągnąć by mogły liczby aż do 50 maszyn dziennie, gdyby nie trudności związane z wyrobem silników i części składowych w odpowiednich ilościach. Cyfra 25 Junkersów dziennie uważana jest za skromną ocenę.

Jeśli chodzi o koncern Dorniera, to posiada on 10 fabryk, których łączna produkcja wynosi zapewne co najmniej 10 maszyn dziennie. Tak więc cztery główne grupy przemysłu lotniczego niemieckiego wyrabiają zapewne 60 maszyn dziennie—przy czym cyfra ta obejmuje wyłącznie maszyny przeznaczone do służby bojowej, nie licząc aparatów szkolnych i pomocniczych, które wyrabiane są przeważnie przez firmy Arado, Focke-Wulf, Fieseler i Bucker.

Niezależnie przeprowadzona ocena niemieckiej wytwórczości silników lotniczych daje cyfrę 2.500 silników miesięcznie. Liczba ta zgadza się z produkcją samolotów, na podstawie stosunku $1\frac{1}{2}$ silnika na samolot, stanowiącego przeciętną w tej dziedzinie.

Dla sprawdzenia powyżej podanych cyfr, warto porównać je z obliczeniem opartym na ilości robotników. Konstruktor francuski Camille Rougeron ocenia liczbe robotników potrzebnych dla zbudowania "przeciętnego" samolotu wojskowego w ciągu roku na 25 ludzi. Inżynierowie włoscy twierdzą, iż potrzeba w tym celu 27 do 30 ludzi. Wedle danych niemieckiego instytutu badań gospodarczych, przemysł lotniczy angielski zatrudniał w roku 1938 90.000 ludzi, przy czym produkcja w tym roku wyniosła łącznie 2.760 maszyn—co daje średnią 32.6 robotników na każdy samolot. Jeden z dyrektorów Heinkla, p. Jaeckel, oświadczył niedawno, iż wykonanie bombowca Heinkel 111K wymaga 20.000 "robotniko-godzin." Oznaczało by to normę znacznie niższą od poprzednio wymienionych, lecz celem osiągnięcia wyników utrzymanych w granicach możliwości praktycznych lepiej będzie przyjąć dla przemysłu niemieckiego cyfrę 28 ludzi na samolot, jakkolwiek inżynierowie niemieccy twierdzą, iż wystarcza im liczba mniejsza.

Liczba robotników zatrudnionych w przemyśle lotniczym w Niemczech wynosiła przed wojną 500.000 ludzi. Od czasu wybuchu wojny wzrosła ona niewątpliwie o 50%, osiągając przynajmniej 750.000. Na podstawie tej liczby, niemiecka produkcja samolotów wynosić powinna około 2.100 maszyn miesięcznie.

W Izbie Lordów w roku 1938 wymieniano liczbę 8.000 samolotów niemieckich pierwszej linii, oraz liczbę 15.000 jako całkowitą ilość samolotów posiadanych przez Niemcy. Przyjmując liczbę tę, jako miarę siły lotnictwa niemieckiego w chwili wybuchu wojny, oraz zakładając produkcję w ciągu pierwszego roku wojny na 20.000 samolotów, zaś straty na 5.000, osiągamy liczbę około 30.000 maszyn, która zresztą zgadza się z oceną nowojorskiego "Aviation." Dopiero uprzytomnienie sobie tej liczby pozwoli nam na zorientowanie się w skali toczącej się obecnie wojny powietrznej.

Liczebność lotnictwa brytyjskiego nie jest nam znana, choć nie ulega wątpliwości, iż jest ona nieco mniejsza od niemieckiej. Różnicę w liczbie wynagradza wyższa jakość samolotów angielskich i lepsze wyszkolenie pilotów.

Niemcy poszli na produkcję masową kosztem jakości. Fakt ten znany jest ogólnie, przy czym bywa nieraz oceniany przesadnie. Nie należy sądzić, aby samoloty niemieckie wyrabiane były niedbale, lub z złych materiałów. Przeciwnie, jeśli ustępują one jakością wyrobom brytyjskim, to różnica nie jest bynajmniej olbrzymia. Jest to nie różnica między Rolls Roycem a DKW, lecz raczej między Rolls Roycem a Mercedesem,—albo między Austinem i Oplem. Przewaga jest niewątpliwie po stronie angielskiej, lecz nie znaczy to wcale, aby samoloty niemieckie były "tandetą." Dokładne badania strąconych w Anglii Messerschmittów, Heinklów i Junkersów wykazały, iż są one wykonane starannie i z dobrych materiałów. Pewną "masowość" daje się zauważyć tylko w Junkersach 86 i 87. Natomiast inne maszyny wykończone są starannie, zaś silniki Daimler-Benz wykonane są równie precyzyjnie, jak motory wyrobu innych fabryk światowych. Nie ma większego błędu jak lekkomyślne niedocenianie przeciwnika, to też nie należy łudzić się plotkami o tym jakoby "samoloty niemieckie rozlatywały się same w powietrzu" itd. Są to maszyny pełnowartościowe, co zresztą jeszcze bardziej uwydatnia wspaniałe wyczyny lotników brytyjskich i polskich, którzy ze starć z nimi wychodzą zwycięsko.

Jeśli chodzi o stronę konstrukcyjną, to maszyny niemieckie są niewątpliwie starsze od angielskich, wobec wcześniejszego przejścia na wytwórczość seryjną. Nie są to jednak również różnice ogromne. Wszak konstruckcja Spifitre i Hurricane datuje również roku 1937-8. Poza tym zaś nikt nie sądzi aby postęp konstrukcji lotniczej niemieckiej, bądź angielskiej, zatrzymał się na używanych obecnie typach. Niewątpliwie obie strony mają już gotowe wzory nowych aparatów.

Ze strony angielskiej wkrótce pokazać się mają ciężkie bombowce, zapewne podobne do "latającej twierdzy" Boeinga. Ponadto zamówiono już w Ameryce nowe pościgowce Bell Airacobra, oraz bojowe maszyny Lockheed, zaś firmy angielskie przygotowują również nowe modele.

Jeśli chodzi o Niemców to wiadomo, iż przygotowują oni nowy pościgowiec Focke-Wulf, w którym pilot znajduje się przed silnikiem, zaś śmigło pchające pracuje między dwoma belkami ogonowymi. Konstrukcja ta przypomina słynnego "Kosiarza" Fokkera, który był sensacją ostatniego salonu lotniczego w Paryżu przed wojną, z tą tylko różnicą, iż ten ostatni posiadał dwa silniki w układzie tandemowym.

Nie ulega wątpliwości, iż zakłady Fokkera pracują obecnie dla Niemców, tak jak w czasie poprzedniej wojny. Szybkości nowych maszyn myśliwskich, zarówno brytyjskich, jak i niemieckich, obracają się w okolicach 600 kilometrów na godzinę. O zwycięstwie rozstrzygnie większa zwrotność, lepsze uzbrojenie i cały szereg szczegółów, od których zależy sprawność bojowa samolotu. Poziom techniczny jest jednak dość wyrównany i nie może tu być mowy o tak przygniatającej przewadze jak np. wyższość lotnictwa angielskiego nad włoskim, lub niemieckiego nad polskim.

Obliczając stosunek sił przeciwników w toczącej się obecnie wielkiej walce powietrznej można niemal całkowicie pominąć Włochy—nie można jednak zapomnieć o nich zupełnie. Jakkolwiek sprzęt włoski ustępuje bardzo poważnie zarówno angielskiemu, jak i niemieckiemu, Włochy posiadają kilka tysięcy samolotów i dla stawiania im czoła na morzu Śródziemnym i Bliskim Wschodzie Anglia zużyć musi pewną część swojej floty powietrznej. O tyle maszyn mniej przeciwstawić ona może Niemcom. Trzeba jednak zaznaczyć, iż wiele z samolotów używanych przeciwko Włochom—jak np. myśliwce Gloster Gladiator — prawdopodobnie wcale nie nadawałyby się do walk z szybszymi od nich bombowcami niemieckiemi, tak iż strata ich na froncie krajowym nie wiele znaczy.

Na ogół biorąc trzeba przyznać, iż stosunek sił jest bardzo wyrównany—przynajmniej w obecnej fazie wojny. W pierwszym jej okresie Niemcy mieli wyraźną przewagę, która później stopniowo malała. Należy oczekiwać, iż w miarę zwiększania wytwórczości angielskiej i dostaw amerykańskich, Wielka Brytania w pewnym momencie osiągnię przewagę powietrzną. Być może moment ten nie jest wcale odległy, lecz trudno jest o dokładną ocenę w tej dziedzinie. Mówiąc o przewadze, nie mam na myśli przewagi liczebnej, lecz raczej taktyczną. Jeśli nowe typy angielskie i amerykańskie górować będą nad typami niemieckimi, nie będzie konieczne prześcignięcie Niemców pod względem ilości—choć i to kiedyś przyjdzie. Jednak prześcignięcie cyfry 30.000 samolotów—jaka uważana jest za przybliżoną ocenę sił Niemiec — wymagać będzie jeszcze dość znacznego czasu. Natomiast chwila zrównania się faktycznego sił powietrznych obu stron—jeśli jeszcze nie nadeszła—nadejdzie wkrótce. Naturalnie niepodobna jest przewidzieć z astronomiczną dokładnością ten moment wojennego zrównania dnia z nocą—lecz toczące się obecne zacięte walki dadzą nam niewątpliwie w najbliższym czasie odpowiedź na to pytanie, które stanowi całą treść wojny, czy to lądowej czy to powietrznej: kto jest silniejszy?

Tadeusz Lutosławski



Jeden z setek i tysięcy napastników niemieckich strąconych nad ziemią angielską przez eskadry brytyjskie i polskie

(British Official Photographs)



Generał Władysław Sikorski u lotników

Dnia 16 września Naczelny Wódz przybył do miejsca postoju 303 dywizjonu lotników polskich i udekorował szesnastu krzyżami Virtuti Militari i czterema Krzyżami Walecznych oficerów i podoficerów. Dekoracja odbyła się między dwoma wylotami dywizjonu do walki. Od początku b.m. strącił on około osiemdziesięciu samolotów niemieckich.

Dwa głosy Warszawy

Z pisarzem X. spotykałem się w Warszawie prawie co dzień na obiedzie u "dzielnych niewiast." Wydostawały one z pod ziemi prowianty i jakoś pitrasiły obiady. Jeszcze w kwietniu można było zjeść za cztery złote. Co prawda o te cztery złote było trudniej, niż dawniej o dziesięć. W magistracie pensje urzędnicze poobcinano do dwustu złotych najwyższe. Innych posad nie było. Były wolne zawody a właściwie dwa: kelnerstwo i przemycanie żywności—zwożenie z zakątków kraju ze wsi i miasteczek do miast. Życie przypominało książki Conrada. Kupiec był to bohater podróżnik ryzykujący wyprawę całym majątkiem, a nieraz i gardłem, a handel—zamienną wymianą paciorków na kość słoniową i maniok. Tu w tym wypadku paciorki, swetry, odzież i wszelki brikabrak pozostały, tylko rolę kości słoniowej i manioku odgrywały tłuszcze i nabiał. Życie nabrało patosu i było historią z książek.

Pisarz X. prowadził pamiętnik i notował dzień za dniem. Nic nie pisał od siebie, tylko podpatrywał i z całą prawdą notował ważniejsze sprawy. Przepisywał dosłownie niektóre niemieckie rozporządzenia co parę dni nowymi plakatami, jak plastrami oblepiające Warszawę. Zaklejające wszelkie szpary, przez które chciał się przedostać swobodniejszy oddech. X. chwalił się efektownym plonem w dniu, kiedy Niemcy zabronili grać Szopena, Moniuszkę, pieśni polskie i sprzedawać te nuty. Jego śmiech budził grozę: "jesteśmy narodem dzikusów!"

"Naród dzikusów" co raz bardziej ubożał. Życie czarnymi obwódkami otaczało co raz więcej nazwisk zapisanych w dzienniku młodego pisarza. Były to zwykle nazwiska ludzi znanych i inteligentów. Niemcy chcieli doprowadzić Polskę do jednego mianownika—wół roboczy.

Czarna książka—pamiętnik pęczniała drobno zapisanymi kartkami. Patos życia dostarczał tyle materiału, że było ich więcej, niż kartek z kalendarza. Stawiałem na tę książkę. Nie sposób bowiem było zapamiętać to wszystko, te wszystkie pojedyńcze wypadki, te drobne codzienne udręczenia rozporządzeń i daty co obuchem tragizmu waliły po głowie. "Siedmiuset pięćdziesięciu prawników zaaresztowano"—podług przypadkiem przez Niemców znalezionej listy!—"stu rozstrzelanych"—podług widzimisię pijanych gestapowców!—Kiedy to było? Jak się stało?—odpowie nam pamiętnik pisarza.

Mówiłem z nim o książce, którą stworzy na podstawie swoich notatek i przeżyć. X. przeczył: "Twórczości tu żadnej nie będzie. To życie jest więcej, niż sztuka. Ten tragizm z pomieszania rzeczy wzniosłych i potwornie złych, to bohaterstwo i boska pogarda śmierci i w przeciwieństwie dramat człowieka, który ratuje się podłością i tą ceną płaci za możność życia—to więcej, niż ktoś jest w stanie wymyśleć. Życie jest bardziej twórcze od wszelkiej fantazji. N.P. dramat, który rozegrał się w dzień zawieszenia walki, kiedy ludność doszczętnie wyczerpana bombardowaniem Warszawy, naraz zobaczyła, że samoloty przeleciały, ale nie rzucają bomb. Co się stało? Nie wszyscy wiedzieli o zawieszeniu broni, natomiast wszyscy oczekiwali pomocy, wierzyli, że przyjdzie i uwierzyli pragnieniem swoich serc. Uwierzyli, że to są samoloty angielskie, klękali na ulicach, i wyciągali ręce do tych samolotów, i czapki z głów zrywali, i wyrzucali w powietrze i wiwatowali. A samoloty niemieckie krążyły nisko i niemieccy lotnicy nakręcali film—film o upadku i poddaniu się Warszawy. . . . Któż jest w stanie wymyśleć coś tak tragicznego? Dramat klasyczny, w którym nieporozumienie, pech czy los odegrał złowieszczą rolę?—Pocóż więc tworzyć? Wystarczy patrzeć. Moment twórczy w wypadku przyszłej książki—może spełnić jedynie rolę nożyczek w filmie: wybrać, przyciąć i złożyć."

I stąd przyszedł początek naszych rozmów o filmie. Postanowiliśmy notować już nie tylko fakty, ale wrażenia z narzucających się plastycznie efektów. Tak, żeby już teraz na świeżo stworzyć cały scenariusz, opisać sceny, naświetlenie, muzykę.

Żeby odtworzyć Warszawę tych dni trzeba było przede wszystkim pamiętać o najistotniejszej rzeczy charakteryzującej ten obraz—o zapachu. Dokuczliwy, nieopuszczający na chwilę, wdzierający się przecznicami spalonych ulic, nalatujący z ziejących ruiną domów i jamami zrytych podwórzy—zapach gorzkawej spalenizny drzew i cegieł, słodkiego swędu jakby wędzarni, i czasami gazu ulatniającego się z popękanych rur. Ta mdła mieszanina, od której dostawało się kurczy w żołądku, musi prześladować widza w filmie jako muzyka, jak jakiś motyw do udręczenia powtarzający się. Motyw brzmiący raz patetycznie i głośno, wysuwający się na plan pierwszy, raz przyciszony, z daleka dochodzący, wydaje się zagubiony, nie, jednak ciągle nieznośnie brzęczący, jak bzyk komara skupiający uwagę, że nie można o nim zapomnieć. Odtworzyć muzyką ten zapach—na tle tej muzyki filmować—odtwarzać plastycznie—teraz przez nas notowane sceny z życia Warszawy—oto zadanie.

Jakże nadaje się do filmu ten wieczór z końca stycznia, kiedy zabito dwu gestapowców podczas rewizji. Przeprowadzali rewizję, a właściwie grabież w dzielnicy Solca czy Rozbrat, w domu robotniczym. Póki zabierali skromne zapasy żywnościowe i poduszki, póty byli bezpieczni, ale nocą jeden z Gestapowców klepnął czule dziewczynę, córkę właściciela mieszkania—ten nie wytrzymał i rzucił się na Niemca. Zabił go jednym uderzeniem noża. Z drugim rozprawili się sąsiedzi, dopadli go już na ulicy. Tak na ulicy został, leżał na płask, na brzuchu, wciskając w ziemię zabraną poduszkę. Trupa pierwszego wyniesiono z mieszkania i wrzucono do przerębli. Iluż Niemców wyrzuci Wisła na wiosnę?

Był skręcający członki i ściskający wnętrzności mróz. Wiatr dął od Wisły. Na ciemnym niebie i skłębionym od chmur czarnymi podcieniami rysował się wiadukt Trzeciego Maja.—A pod wiaduktem, jak wędrówka narodów, szeregi uciekających ludzi czarnymi sznurami majaczyły się na białym śniegu. To dzielnica cała bojąca się represji uciekała. Uciekali mężczyźni. Kobiety stały na progach domów, okutane w chusty, marzły, przestępowały z nogi na nogę, chuchały w ręce, wyczekiwały na mężczyzn, by powracających do domu jak najprędzej uprzedzić. Wtykały przygotowany chleb, węzełek jakiś—"masz, idź, uciekaj," mówiły, "uciekaj, Niemca zabili."

"Niemca zabili . . . Niemca zabili . . . Niemca zabili . . ." Szept jak wiatr przenikał ulice. Mężczyźni, starcy i chłopcy, zupełnie młodzi, uciekali nauczeni doświadczeniem, że za jednego wroga stu Polaków ginie.

Zapach i szept—to dwa elementy charakterystyczne w filmie o Warszawie. Warszawa mówi na dwa głosy. Jeden głos powierzchowny, dostępny dla wszystkich, głos całego dnia. Głos słów, które można mówić na głos. I drugi głos, głos wydawany prawie bez drgnięcia warg. Na hałaśliwej ulicy, przy bylejakiej rozmowie, usłyszysz szept i od razu złapiesz słowa, jakby były powiedziane w innym, bardziej polskim języku. Kilka szeptem powiedzianych słów i już wiesz, że dziś znów rozstrzeliwali w nocy w ogrodzie sejmowym. Że znów były aresztowania. Że—wyciągnij rękę, a w uścisku dostaniesz zwiniętą ulotkę, czy gazetkę, czy odpis wiersza.

Czasami krzyk przedrze głos ulicy. Ten też należy do kategorii szeptów. Ktoś krzyknął—raz jeden—"uciekać, łapią" i umilkł.

Warszawa szepcze. Pisarz X. spisuje te słowa. Warszawa na razie szepcze, ale przyjdzie czas, kiedy przemówi pełnym głosem.

Andrzej Lenczewski

PIEŚŃ LOTNIKÓW

*Jeden woła, że tylko zwycięstwo
Narodowa przyniesie nam sprawa.
Po prawicy jest siła i męstwo:
Prawa! Prawa! Prawa!*

*Drugi woła, że już nad Europą
Młot i sierp bolszewicki powiewa.
Wybijajcie żelazny rytm stopą:
Lewa! Lewa! Lewa!*

*A nam skrzydła wyrosły stalowe,
Huczą śmigła radosną wichurą.
Drżą motory. Gotowe? Gotowe.
Górą! Górą! Górą!*

Antoni Słonimski

KOCHANKA

*Mam kochankę, jedyną na świecie
miłośnicę, nad wszystkie miłosną.
Samo imię jej pachnie, jak kwiecie,
polne kwiecie—miodowo i rośno.*

*To jej imię ma w sobie smak pola,
dosytnego pęczniejącym kłosem.
Gdy zacichnę, kochanka mnie woła
swoich sosen szumiących pogłosem:*

*—Chodźże, chodźże do mnie, mój kochanku,
bo mi przecież ślubowałeś wiarę!
Niech cię jeszcze rdzawe macierzanki
opowiną mym pachnącym czarem!*

*Niech że ja cię utulę, uścisnę
do białego, ostatniego ranka,
niech się w oczy, niech się w usta wcisnę! . . .
—Tak mi śpiewa daleka kochanka.*

*O, bo to jest kochanka zazdrosna,
której służyć trzeba, jak nikomu!
Sama o mnie tak ciągle się troska
i przyzywa do siebie widomie.*

*I to dziwne: nie jestem zazdrosny
o tę moją kochankę, tę polną—
każdy z was jej być może miłosny . . .
. . . Tylko kochać jej bardziej nie wolno!*

*Gdy pójdziemy (bo was także woła)
na dalekie jej, tęskne wołanie,
zobaczymy, kto będzie u czoła,
aby zdobyć swoje ukochanie!*

*Kto najpierwszy ze wszystkich kochanków
na jej piersi piersiami się ciśnie
i z pod serca wytoczy, jak z dzbanka,
krwi pąsowej najdojrzalsze wiśnie . . .*

Antoni Bogusławski

BAGPIPE SONG

*Na szkockiej ziemi, daleko,
wśród gór bezludnych i obłych,
żyjemy życiem pustynnem,
jak sosny czarne i jodły.*

*Słuchamy nocą, jak z dala
wikliny szepcą nad rzeką,—
żyjemy życiem bezczynnem
pod cichą Boską opieką.*

*Czasem jęk wichru nas budzi,
lub deszcz nas do snu kołysze . . .
Rzekłbyś—listopad, czy grudzień
w sierpniowej błąka się ciszy.*

*Noc zimna szarpie się dreszczem
mrożącej krew pustki zimowej—
choć wiesz, że na płótno namiotu
sypie się okwiat lipowy.*

*Czasami ranek słoneczny
orzeźwia cię swą ciepłotą—
na trawie błyszczą diamenty,
w obłokach srebro i złoto . . .*

*I twoja lipa kwitnąca
od pszczół pracowitych aż dzwoni,
w tym kraju północnej legendy,
gdzie wszystko jest "lovely" i "bonnie."*

. . . .

*Z za gór tych, wrzosem liliowych,
gdy płachta chmur się rozedrze,
spójrz ku nam POLSKI CHRYSTUSIE
z krzyża w Wawelskiej Katedrze.*

*Spójrz, bo to my, na tej ziemi
krew z krwi i kość z kości Piastowej,
leżymy tutaj obozem,
nim pójdziem w pochód krzyżowy.*

*Do tego dłoń trza wyciągnąć,
tego nadzieją napoić—
—zwolżе nam, Chryste Wawelski
z ducha się wreszcie dozbroić—*

*wiarę daj żywą i czerstwą—
błogosław Twoje żołnierstwo.*

Edward Ligocki

Somewhere in Scotland, sierpień 1940

Z cyklu:

Nieznani sprzymierzeńcy

Wybuch wojny zastał mnie w Teheranie, gdzie pełniłem służbę korespondenta "Kuriera Porannego," i chociaż zaraz 1-go września ub. r. poprosiłem o pozwolenie opuszczenia stanowiska,—musiałem tam pozostać z rozkazu władz przełożonych i przeżyć najtragiczniejsze chwile, których ciężar potęgowały codzienne zdrady "przyjaciół," dotychczas całkowicie rzekomo oddanych myśli politycznej o Wschodzie, reprezentowanej przez Polskę. W tych najcięższych chwilach doznałem jednakże bardzo wiele współczucia, zrozumienia i zachęty do dalszej pracy ze strony tych, dla których z losem Polski na zawsze złączony został los ich własnych krajów, będących i teraz Sprzymierzeńcami Rzeczypospolitej. Są to Sprzymierzeńcy nieznani, znajdują się bowiem w jarzmie czerwonej tyranii i nieraz nie mogą dać zewnętrznego wyrazu dążeniom swoim i uczuciom. To też poruszając na łamach "Polski Walczącej" ich sprawę—dalekich, nieznanych, a bliskich jednocześnie i drogich—w ten sposób chcę spłacić dług wdzięczności, zaciągnięty u tych, którzy nagłym obrotem koła historii wyrzuceni zostali—a wierzę, że tylko na krótki czas—poza obręb najpilniejszych spraw płonącej Europy.

I. Styczniowy strajk w Baku

Kiedy Zoroastra przed wiekami zawędrował w gronie swoich uczniów na jeden z najdziwaczniejszych półwyspów cudacznego morza, Kaspijskim zwanego, stanął w zachwycie na widok niepojętych dymów i słupów ognistych, strzelających wprost z ziemi. I tam właśnie—na półwyspie Apszerońskim — poznał boską moc Achura Mazdy, poznał czystość płomienia i świętość ziemi zrozumiał, tworząc do dzisiaj istniejący kult t. zw. "Czcicieli Ognia."

Zjawisko słupów ognistych i czarnych strumieni gęstej i śmierdzącej cieczy zwróciło również uwagę perskich rządców Aserbejdżanu, którzy posyłali na dwór Szachinszacha oleistą maź. Służyła ona "królowi królów" do oświetlania pałacu w dniach uroczystych świąt. Ciecz tę znali jeszcze i Rzymianie, którzy użytkowali maź naftową—bo rzecz o nafcie idzie—w Rumunii, jako lek na dolegliwości reumatyczne. Rzadko jednak w historii spotykamy zainteresowanie się naftą. Wprawdzie po zdobyciu Baku przez Rosjan, jeden z gubernatorów przesłał carowi raport, zwracając uwagę "Miłościwie Panującego" na czarną ciecz oleistą, wydającą bardzo przykrą woń, a równocześnie mającą wybitną łatwość palenia się, co—zdaniem gubernatora—uświetnić mogło by festyny nad brzegami Newy i w Carskiem Siole. Car nie pozostał głuchy na ten ostatni argument i wysłał w roku 1808-ym komisję złożoną z przedstawicieli petersbuskiej ...Akademii Umiejętności. Po dłuższym pobycie w Baku, komisja wydała orzeczenie, w którym czytamy: "Nafta jest płynem ziemnym, pozbawionym wszelkiej użyteczności." (Essad Bey: "*L'épopée du pétrole*"—Payot, Paris). Raport podkreślał również nieprzyjemny zapach nafty, kończył się jednak praktycznym wnioskiem: ". . . maź naftowa mogłaby służyć jedynie, jako smar dla przeraźliwie skrzypiących kół u wozów miejscowej ludności."

Dzisiaj inne o nafcie panuje zdanie i jeśli podążymy na półwysep Apszeroński, do okazałego portu kaspijskiego—Baku, nie ujrzymy już ani słupów ognistych, jakie przed wiekami oglądał Zoroastra, ani strumyków naftowych nie dojrzymy na powierzchni ziemi. Spotka nas natomiast las szybów naftowych, opatrzonych wieżami wiertniczymi, spotkają nas rurociągi i dymy przemysłowego miasta.

Zatrzymamy się w Baku w okazałym hotelu "Inturista" i idąc do wskazanego nam pokoju—o ile się nie mylę na drugim piętrze—utkwimy wzrok w płytach marmurowych, jakimi korytarz jest do połowy wyłożony.

—Wspaniałe są te marmury!

A zwłaszcza ta jedna płyta, na której jeszcze dzisiaj złoci się krzyż i pierwsze trzy litery imienia "Włodzimierz," świadcząc niezbicie o pochodzeniu marmurów z nagrobków cmentarnych.

Powiedzmy, że stanęliśmy w Baku w styczniu 1940 roku,—w tym samym właśnie momencie, kiedy z pociągów, dość rzadko przychodących do sowieckiej stolicy nafty, wysiadało wiele postaci, obcych Związkowi radzieckiemu, a nazywanych tam zazwyczaj z pewną domieszką pogardy "ludźmi o faszystowskim sposobie chodzenia" (*"faszystkaja pochodka"*). Oni również zatrzymywali się w hotelu "Inturista," ale nie na marmury uwagę zwracali, lecz na własne teczki, z których wydobywali pliki papierów, zionących długimi kolumnami cyfr.

Samochody bez przerwy kursowały między "Azneft" i komisariatem przemysłu, dyrektorzy rafineryj wiecznie wzywani byli do telefonu i na najrozmaitsze konferencje, ale dopiero kiedy ludzie o "faszystowskim sposobie chodzenia" zaczęli zwiedzać rafinerie, wśród aserbejdżańskich i ormiańskich robotników rozeszła się wieść niepokojąca.

—Niemcy!—powtarzali jedni drugim.

Istotnie byli to Niemcy. Jedni zwiedzali rafinerie, inni badali środki transportu, jeszcze inni—stan dróg na Zakaukaziu. I obchodziło ich dosłownie wszystko! Stąd też przesądni "Tiurkowie," których do roku 1918-go zwaliśmy Tatarami, najgorsze wróżyli losy, dobrze wiedząc, że Niemiec nic dobrego przynieść nie może.

A tu—jak na złość—od granicy tureckiej napływało z każdym dniem więcej uchodźców, rugowanych przez władze sowieckie, dlatego, że uznały ludność muzułmańską za element niepewny i zbyt sprzyjający Turcji. Rzecz prosta, że wyzuci ze swoich siedzib i pastwisk, z zasady nie kolektywizowanych w okręgach pogranicznych, ciągnęli do Baku—wielkiego miasta, budzącego nadzieje łatwego znalezienia pracy. Tu—popierani przez współwyznawców przed możnymi dygnitarzomi czerwonymi, stwarzali automatycznie konkurencję Ormianom, wśród których odradzała się znów odwieczna ku Turkom nienawiść.

Tymczasem zaś Niemcy napływali co raz liczniej do Baku, po którym chodzić zaczęli grupami, przyglądając się ciekawie obywatelom "czerwonego raju," paradującym w trzaskający mróz w kaloszach, umocowanych sznurkiem do owiniętych szmatami nóg.

Z frontu fińskiego napływały pełne otuchy wiadomości i całe Zakaukazie świetnie zdawało sobie sprawę z sowieckich porażek, bo czerwona armia zarówno regularna, jak i terytorialna ruszyła pod dowództwem "komandarma" Melikjana na odsiecz, lub raczej do akcji frontowej.

I nastały długie wieczory zimowe, mróz szalał, śnieg sypał i dumy budziły się stare—Ormianom jednako, jak i Tiurkom wspólne—dumy o własnej wolności. Warunki wydawały się pomyślne, zwłaszcza zaś, że na Zakaukaziu pozostały niemal wyłącznie wojska komisariatu spraw wewnętrznych (NKWO), a śniegi spadły tak obfite, iż można je było uznać za okoliczność walkom partyzanckim sprzyjającą. Armia Weyganda wysłała wtedy swoje straże przednie ku Turcji i trzeszczał—jak zdawało się ludności Zakaukazia—front fiński.

Wówczas to właśnie władze sowieckie wprowadziły 12-godzinny dzień pracy bez podwyżki płac. I wszystko stało się jasne! Baku robotnicze krzyczało na cały świat o zdradzie Stalina, który dąży do zwiększenia produkcji nafty dla zaspokojenia potrzeb Hitlera!

Robotnicze Baku wrzało! Liczne pochody organizowały się na ulicach—na placach publicznych odbywały się samorzutne meetingi, a mówcy podnosili na nich wyzysk proletariatu w Związku Sowieckim. I na nic się nie zdała czujna straż G.P.U. rozbrajana przez wyrostków i kobiety.

W Baku wybuchł strajk protestacyjny 20.000 robotników prze mysłu naftowego!

II. Aserbejdżan chwyta za broń

Zaczęło się—jak zwykle—w porcie, portowy bowiem robotnik jest swobodniejszy i łatwiej mu jest zdobyć się na okazanie swego niezadowolenia. A potem poszło już "na całego." Tłumy robotników porzuciły rafinerie, wylegając na ulice, gdzie nie dbały o rany, powodowane kulami karabinów i uderzeniami kolb. I chociaż Baku odcięte było śniegami od wiosek Zakaukazia, wieść o strajku bakińskim rozeszła się szybko.

Już za przykładem stolicy czarnego skarbu poszły Zakatały, a nawet mizerny Ordubad, wpatrzony w wartki bieg Araksu, zaczął się ruszać. I dziwne to były odruchy, znacznie od bakińskich poważniejsze, gdyż nie o dzień 12-godzinnej pracy chodziło, lecz o wolność Aserbejdżanu.

Tymczasem zaś w Baku zagrały karabiny maszynowe, ustawione w oknach G.P.U., hotelu "Inturista," komisariatu przemysłu i innych instytucyj rządowych. I karabiny maszynowe okazały się skuteczne. Strajk topniał, jak śnieg, zostawiając tylko gdzie niegdzie plamy, likwidowane szybko przez G.P.U.

Radiostacja bakińska w dalszym ciągu nadawała lekki program, niosąc w świat wykute na pamięć i niezmienne od lat frazesy bez treści, ale w piwnicach G.P.U. rzeczywistość inne miała oblicze. Tam płynęła krew—krew wszystkich tych, którzy widzieli Aserbejdżan poza Związkiem Radzieckim, silny i bogaty potęgą czarnego skarbu, obficie przelewającego się w niezbadanych dotąd głębiach. Wielu zginęło od kul oprawców, a wśród nich przede wszystkim Bagirow, b. premier sowieckiej republiki aserbejdżańskiej.

Kiedy jednak ludzie o "faszystowskim sposobie chodzenia"—Niemcy—mogli znowu spokojnie krążyć po Baku cały Aserbejdżan wrzał. Powstanie rozszerzało się błyskawicznie, kierując się ku granicy tureckiej. Ośrodkiem głównym tego powstania była Zakatały. Pociągi, zdążające od Batumu ku Dżulfie po opuszczeniu granic Armenii niejednokrotnie zatrzymywały się, nie z własnej woli, wśród śniegów Zakaukazia, a worki z mąką lub mięso ulegały konfiskacie.

Zapadłe wioski skaliste ożywiły się i chociaż wczesny zmrok styczniowy od lat już nie widywał świateł w wiejskich oknach,—w tym roku witany był łuczywem, palonym niemal w każdej chacie! Bo też z każdej chaty szło po kilka osób, uzbrojonych w wydobyte z ukrycia kindżały.

Takich zaś, co i karabiny mieli także nie mało było. Wśród ciemnych nocy, nieskończonością gwiezdnych błysków znaczonych i niejednym blaskiem wilczych oczu, szła młódź Aserbejdżanu. Z razu w niewielkich grupkach, nachodziła posterunki milicji i stanice G.P.U., po tym zaś w większe oddziały złączona szła górskimi przesmykami, całkiem niedostępnymi o tej porze roku, przechodziła przez łańcuchy gór, pojawiając się w dolinach, w miastach i osiedlach, gdzie w pień wyrzynała czerwonych i wzmocniona nowymi siłami napływających zewsząd ochotników—szła na przód, ciągle na przód.

Był to potężny głos Aserbejdżanu—głos, który nie dotarł do stolic europejskich, zajętych pożarem własnego domu.

A młodzież Aserbejdżanu ciągle szła na przód, tam dokąd ją pchała świadomość słusznej sprawy i wiara w potęgę nowej, odrodzonej Turcji, która opowiedziała się po stronie Sprzymierzonych. Tak przynajmniej rozumiano na Kaukazie i na Zakaukaziu stanowisko Turcji. I kto wie, czy doszło by w styczniu ubiegłego roku do wybuchu na Aserbejdżanie, gdyby nie wiara, że wybiła już godzina śmierci tyranii i gwałtu. Nie można tu zapominać, że dla Tiurków Turcja dzisiejsza jest "ziemią obiecaną," jest ideałem wśrod ideałów, i że nadzieją ostateczną i nagrodą najwyższą jest złączenie się z Turcją, z którą nie tylko wspólna ich łączy wiara, lecz i język wspólny.

I kiedy powstanie aserbejdżańskie oparło się o granicę turecką, nastąpiło załamanie. Powstańcy spodziewali sie, że Turcja poprze ich największy wysiłek, poprze tym chętniej, iż dobrowolnie opowiedziała się w zawierusze światowej po stronie prawa do wolności i samostanowienia wszystkich narodów. A przecież Aserbejdżan ofiarowywał Turcji nie tylko płomienne swoje serca, lecz i czarny skarb ofiarował—uznany za najwyższą wartość naszego globu.

Potem zaś wraz ze skarbem nafty, przechodzącym spod władzy Sowietów, w gruzy padłby cały Związek Radziecki zużywający 62% swojej nafty na zmotoryzowane rolnictwo. A co niósłby Europie upádek Sowietów, tajemniczego wspólnika Adolfa Hitlera—wiemy wszyscy.

W rozczarowaniu najcięższym powstańcy Aserbejdżanu bronili się na małym skrawku ziemi u turecko - sowiecko - perskiej granicy. Teraz już nie atakowali oddziałów wojskowych Narodowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdyż dla "zrobienia porządku" i dla zapewnienia dostaw nafty, pokazały się na Zakaukaziu niemieckie dywizje. Te same, których przemarsz przez Polskę zauważono, i których obecność na Zakaukaziu obwieściła światu prasa angielska poprzez Persję.

Tak nadszedł marzec. Z frontu fińskiego wracała armia zakaukazka pod dowództwem sutego sukcesów i chwały "komandarma" Melikjana.

I tegoroczne powstanie aserbejdżańskie upadło. A kiedy w końcu marca rb. żegnałem moich przyjaciół w perskiej części Aserbejdżanu, dowiedziałem się, że władze sowieckie wysiedlają gwałtownie ludność muzułmańską z pogranicza turecko-sowieckiego. Dowiedziałem się, że na stacjach kolejowych Zakaukazia stoją straże niemieckie i że niemieccy specjaliści dozorują roboty fortyfikowania sowiecko - tureckiej granicy.

Dla nas jednak, poza murem sztucznych fortyfikacyj z jednej i za wspaniałym łańcuchem gór kaukazkich z drugiej strony—zostanie zawsze Naród sprzymierzony, umiejący pieczętować ofiarną krwią porywy najszlachetniejsze porywy płomiennej miłości Ojczyzny.

Janusz Laskowski

Wspólne Serce

W centrum Londynu, gdzie tak łatwo o charakterystyczne dla Anglii kontrasty, gdzie w pobliżu wielkich arterji ruchu i mody znaleźć można wąskie, ciche, schludne uliczki jakby zabłąkanego cudem do wielkiej stolicy małego miasteczka—mieści się w narożnym domku duńska pralnia z szumną białą reklamą na oknach wystawowych: "*All laundry may be done in* 12 *hours*"—"Każde pranie w ciągu 12 godzin" (te dwanaście godzin duńskie należy wprawdzie przetłomaczyć na 72 polskie, ale to do rzeczy nie należy).

Właścicielka—mała, siwiuteńka jak gołąb staruszka z wyblakłymi od żmudnej, ciężkiej, nieraz zapewne nocnej pracy oczyma, z wyrazem serdecznego, cichego współczucia patrzy na "*Polish Gent.*"

—"Are you Pole aren't you?" (Czy Pan jest Polakiem?)

—"Yes, I am." (Tak jest.)

Staruszka smutno się uśmiecha i drobnymi wolnymi krokami odchodzi wzdłuż lady ku ścianie, gdzie na półkach stoją obok siebie jej najdroższe skarby: fotografie syna. Wraca z jedną z nich w ręku.

—"Widzi pan—i ja dziś jestem na wygnaniu. Ojczyzna moja—tak bliska dotąd Anglii—jest od nas odcięta. Tu—pokazuje fotografię z bolesnym uśmiechem, a w oczach jej błyszczą łzy—syn mój przedstawia królowi Christianowi na wystawie drobiu w Kopenhadze dumę swego dorobku: kolekcję wspaniałych jaj. To mój jedyny syn—od 3 miesięcy nie mam od niego słowa. . . ."

Mówi stare, zbolałe, ale zawsze płomienne, matczyne serce do żołnierza polskiego—do bratniej duszy w nieszczęściu i bólu. Potrzeba zwierzeń zbudziła się w duńskiej staruszce na widok właśnie polskiego munduru, którego nigdy w życiu nie widziała, o którym zapewne przedtem nigdy nie słyszała. Wielka Tragedia, stworzyła im nagle jeden wspólny język. Jednaki Ból.

To godło wraz z niezniszczalną wiarą w Odrodzenie Prawa i Sprawiedliwości dla wszystkich i nieuniknioną straszliwą karą dla wspólnego sprawcy nieszczęścia, jest jednym dziś wyznaniem dla setek milionów nieszczęściem dotkniętych na gruzach bestialsko stratowanego prawa ludów Europy: Polaków, Czechów, Austriaków, Duńczyków, Norwegów, Belgów, Holendrów i Francuzów. Łączą nas one—Ból i Wiara—na dziś i na jutro. Bez względu na to, w jakim języku płyną skargi i modły przed tron Wszechmocnego, wszystkie wołają: sprawiedliwości i pomsty!

Nie płacz, mała cicha duńska staruszko, nie płaczcie miliony udręczonych serc matczynych!—wrócą jasne dni spokoju i szczęścia i tęcza wybawienia zapłonie wszystkimi, na próżno w krwi nurzanymi barwami nad starym światem.

A kolorów w tęczy będzie tyle. ile ludów wolnych w Europie; a moc jej blasku tak wielka, jak wielka była Moc Cierpienia i Wiary w dniach walki.

A obrońców i wyznawców będzie tyle setek milionów, ile dziś targa się w jarzmie niewoli i do zwycięskiej sposobi się rozprawy z germańskim sępem—duchem Zła i Ciemności.

A na czele, niezłomny od pierwszego dnia walki, w eskadrze ptaków Wolności poszybuje Orzeł Srebrzysty poprzez dni własnej krwi i chwały ku jutrzni Odrodzenia.

I nadejdzie dzień, w którym z niedoli wspólnej narodzi się i bić zacznie dla wszystkich Jedno Wielkie Wspólne Serce—Wolnej Europy.

Tadeusz Drzewiecki

---

* Dla umiejscowienia ludzi i faktów, które autor—obecnie nasz kolega—przedstawia w tych dwu i przedstawi w dalszych artykułach cyklu—czytelnik może posługiwać się mapką Bliskiego Wschodu umieszczoną na stronie 2-iej niniejszego numeru "Polski Walczącej."

Z życia obozów

Wycieczka do Glasgow

Postanowione zostało decyzją kapitana, dowódcy kompanii. Zatwierdzone wysoką sankcją dowódcy batalionu. No, i kompania nasza na najbliższy poniedziałek ma wyjechać do Glasgow. Wycieczka pierwszorzędnej wagi w ramach kompanijnej pracy kulturalno-oświatowej. Inicjatywa, której należy wyrazić głębokie uznanie. To, z całym żołnierskim wylaniem uczyniła po swojemu tak zwana brać karabiniarska.

" Hapscylinder," stary, wytrawny działacz społeczny w stopniu kaprala—wykazywał poważne zaciekawienie dla wielkiego przemysłowego miasta Szkocji. " Wicek " zaś namiotowy już drżał na samą myśl ujrzenia nadobnej płci. W tak dwojaki sposób reagowała żołnierska wiara na to, że już za dwa, że już za dzień, że jutro jedziemy do Glasgow.

W sam dzień wyjazdu, mimo wczesnej pobudki—w kompanii duże podniecenie. Pomimo poranku jeszcze dość daleko przed samym porankiem—ogół dzielnie na nogach. Myje się, czyści się, dogala się, pije kawę, lustruje buty i wpakowuje co można do chlebaków.

W pobliżu obozu miały oczekiwać zamówione autobusy. Trochę denerwującego nieporozumienia. Okazało się, że jednakowoż oczekują, przy innym pobliskim obozie. Nieporozumienie zażegnano. Tyle, iż dodatkowo przejechał się w wyjaśnieniowych celach, kolega " Snop," więcej z Temidą, niźli ze zbożem w życiu cywilnym mający do czynienia.

Jedziemy do Glasgow. Droga wygodnym szkockim autokarem, przeszła jak z bicza. A miałem przy sobie niebylejakie towarzystwo. Bo siedział przy mnie i " Janko muzykant," i " Doktór François."

Z dala, z okien autobusu widać wielkie miasto. Dymy wiją się słupami pod obłoki zachmurzonego nieba. A spokoju na niebiosach strzegą całą powagą swojego wydłużonego kształtu—balony zaporowe.

Zostajemy podzieleni grupami według plutonów. Nasi uprzejmi nauczyciele języka Szekspira, Byrona, Waltera Scotta i Dickensa wydatnie pomagają w prezentowaniu miasta. Niech im za to glasgowski święty Mungo wynagrodzi!

Oglądamy wspaniałą katedrę, cudo średniowiecznego budownictwa. Olbrzymi kościół, gdzie na resztkach romańszczyzny wznosi się milczący gotycki tum, pamiętający tyle wieków historii Szkocji, i być może, oglądający po raz pierwszy tak pokaźną rzeszę Polaków w żołnierskich mundurach. Przewodnicy wyjaśniają jak mogą i co mogą. Nasz generalny tłumacz, kolega podchorąży, miele językiem tłumaczenie za tłumaczeniem. Bo ta wiara karabiniarska ciekawa, pyta się o te wkoło kaplice, filary, witraże, absydy i pomniki pamiątkowe.

Z katedry św. Mungo, z jej nastrojowego wnętrza—dobywamy się na światło dzienne. Oszołomieni architekotniczną i historyczną przepysznością gmachu—jedziemy do muzeum. Muzeum! Myślimy o naszych polskich muzeach, bądź popalonych we wrześniu zeszłego roku, bądź dotąd bezkarnie grabionych przez zjednoczenie łotrów niemiecko-moskiewskich. Człowiek bowiem dużo, czasu wojennego obieżyświactwa, widział muzeów. Muzeum miasta Glasgow, pobudowane również z okazji wystawy jak budapeszteńskie—imponuje widocznością sal. A po prostu przesyca nagromadzeniem zbiorów. To nagromadzenie od etnografii nowozelandzkiej do rzymskich wykopalisk z pogranicza Szkocji i Anglii—świadczy dobitnie o potędze wielkobrytyjskiego kraju, który nas gości. Różni rozmaicie oglądali muzeum. To pewna, iż wielu obiecuje sobie, że powróci, że bliżej wgłębi się w skarby, w muzeum zawarte. Nauka bowiem z nich idąca—po przez nas, skrzętnie zaciekawionych, przyda się niewątpliwie przyszłej Polsce.

Po muzeum—uniwersytet. Słynny uniwerstytet, gdzie między innym znakomitościami wykładali James Watt i Adam Smith. Poważne, pełne skupienia sale. Z nabożnym uczuciem, z głębokim przejęciem oglądało się te sale, audytoria, biblioteki. Dla wielu z z nas było to jakby przypomnienie. . . . Jeszcze zeszłego roku odbywanych studiów. Gdzieś na wszechnicy Krakowa, Lwowa, Poznania, Lublina, Wilna, Warszawy. . . .

Z tylnej części uniwersyteckiego parku szeroki widok na miasto i port. Dźwigi portowe, jak w Gdyni i w Gdańsku. Lecz miasto większe i starsze. Cóż—VII i VIII wiek. to nie byle co.

Po przeglądnięciu miasta,—zjeżdżamy się u wrót " Cioci Imci." Wrażeń moc. Rozmowy ożywione. Wymieniamy swe spostrzeżenia . . . czas płynie. Żołądki stają do posłusznego zameldowania się z prośbą o możliwie znaczne uzupełnienie; a my liczymy na " Ciocię Imcię," jak na Zawiszę w jedzeniowej sprawie!

Niestety, obiad był wielce smaczny. Tylko, czy żołądki się popowiększały, czy też glasgowskie jedzenie jakoś zbyt trawione wilczym apetytem; dość, że odchodzimy od stołu głodni, jak wilcy i uzupełniamy żołądkowy fasunek w każdej napotkanej kantynie.

Parogodzinne, indywidualne przetarcie się po wspaniałościach milionowego miasta Szkocji, i jedziemy na stadion, gdzie w obecności pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Wodza Naczelnego, Gen. Sikorskiego, i innych naszych dostojników, jak również dostojników brytyjskich—toczy się mecz piłkarski między reprezentacjami dwu armii sojuszniczych: brytyjskiej i polskiej.

Wleli nam Brytyjczycy, bo wleli, aż cztery gole, mimo bohaterskiej postawy bramkarza naszego bractwa, który—nawet w chwilach wolnych od niebezpieczeństwa atakowania naszej bramki—czynił solidne, niemal pokazowe, robinsonady. Wielu natomiast z nas poznało naocznie po raz pierwszy wspaniałą grę drużyny angielskiej. Cóż to za dokładność podań, co za inicjatywa w samym toku gry, co za niezawodność strzału! A jakie starty do piłek! Nie ma co gadać—doskonała drużyna. No, przy takiej sportowej zaprawie, kto może Wielką Brytanię pokonać orężnie?!

Jeżeli zaś dodam, że przygrywała orkiestra szkocka i polska—to prawdziwie żałować będziecie wy wszyscy, żeście z nami na wspomnianym meczu nie byli! Chociaż oprócz szkockiego mrowia cywilnego było mnóstwo naszego wojska. I artyleryjskie kanoniery i podniesiona na duchu przez whisky " bronia pancerna," i ułany, a także i my, ciężkie karabiny maszynowe. Rozumie się!

Natarczywie zagabywani—porozdawaliśmy jako souveniry (ach! te souveniry wciąż i wszędzie souveniry!) ostatnie polskie monety, i nieprzeliczoną moc autografów (na każdego coś ponad dwadzieścia!)—i odjechaliśmy ze śpiewem do miejsc postoju.

Sklął mnie tylko podczas jazdy powrotnej znany " Doktór François." Że podczas snu sam nie uważam, i że go cokolwiek w autobusie przygniotłem. Bardzo mu współczuję.

" Hapscylinder " zaś, i inne Witki, Janusze a Jurki, utrudzone wycieczką drzemały, gniotąc się zgodnie.

Wawrzyniec Czereśniewski



Radio gra także pod namiotem

fotografował Jan Olgierd Bożenko

NOWE PIOSENKI NA STARE MELODIE

ŻOŁNIERZE TUŁACZE

(Na melodię: " My w szarych mundurach . . .")

Żołnierze-tułacze wśród wichrów i burz,
Lecz zawsze Ojczyźnie swej wierni,
Walczymy o wolność, co świta wśród zórz . . .
Pancerni, pancerni, pancerni!

Tęsknota nas wzywa do kraju wśród łez . . .
Do Polski, w żałobnej dziś czerni . . .
By pomścić krew braci i cierpień nieść kres.
Pancerni, pancerni, pancerni!

Przez bój do Ojczyzny wolności jest szlak.
—Dziś ku Niej idziemy wśród cierni . . .
Krwi krople na polu zakwitną jak mak . . .
Pancerni, pancerni, pancerni!

RADUJE SIĘ SERCE

(Na znaną melodię)

Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy nasza kompania na wojnę wyrusza.
Oj da, oj da dana . . .
Kompanio kochana!
Nie masz to jak nasza, nie!

Pancerz nie osłoni tchórzliwego serca.
Wnet cię gdzieś dogoni kula, co uśmierca . . .
Oj da . . .

Najlepszym pancerzem—celny strzał i męstwo!
Tylko do odważnych należy zwycięstwo.
Oj da . . .

A gdy już pobijem Niemców i Moskali
Nasze Warzawianki będziem całowali . . .
Oj da . . .

PRZYBYLI PANCERNI

(Na melodię: " Przybyli ułani . . .")

Przybyli pancerni pod okienko.
Stukają, pukają,—puść panienko!

O, Jezu!—A cóż to za wojacy?
—Otwieraj, nie bój się—to Polacy!

O, Jezu!—A dokąd Bóg prowadzi?
Warszawę odwiedzić byśmy radzi . . .

Idziemy z daleka na bój krwawy,
Przez Paryż, przez Londyn—do Warszawy!

Po drodze wstąpimy do Berlina—
Powiesić Hitlera, psiego syna!

A gdy już będziemy tam w Berlinie—
Zarżniemy Goeringa, wściekłą świnię!

Znajdziemy Goebbelsa, złego ducha,
Aby mu wypuścić flaki z brzucha!

Z Berlina pójdziemy do Poznania,
Wypędzić na zawsze Niemca—drania!

Z Warszawy już droga nam gotowa
Po Franka na Wawel, do Krakowa.

A potem do Lwowa, na Moskala,
Co naszą tę świętą ziemię kala!

A w końcu już razem się udamy
Pokłonić się Matce z Ostrej Bramy.

BRACIA, DO BITWY!

Bracia, do bitwy nadszedł czas! . . .
Trąbka do boju wzywa nas.
Do boju, do boju!
Śpieszmy wszyscy wraz.

Bracia, na wroga na przód marsz!
Wzorem husarskich dawnych szarż.
Do boju, do boju!
Ruszmy wszyscy wraz.

Ładuj, spokojnie celuj, pal!
Gdy kul zabraknie—czołgiem wal . . .
Do boju, do boju!
Śpieszmy wszyscy w dal . . .

KAPRAL TŁUMIK

(Na melodię: " Tam na błoniu . . .")

Tam przy drodze, tam na ścierni,
Zatrzymali się pancerni,
A dziewczyna jak malina,
Niesie koszyk grusz—czerwonych.

Kapral Tłumik, chłop morowy,
Ma apetyt rekordowy,
Więc uderza bez pancerza
I zdobywa już—serduszko.

Dziewczyna się zatrzymała,
Kapralowi gruszkę, dała . . .
Nie bądź taka, daj buziaka
Na dodatek też dziewuszko!

Tuman kurzu widać w dali . . .
Już pancerni odjechali . . .
Dziewczę płacze: " Czy zobaczę
Kiedy jeszcze Was, Kochani! "

GÓRAL W CZOŁGACH

(Wymawiać w gwarze górali zakopiańskich. Na melodię znanej góralskiej piosenki: " Ni mam nic, ni mam nic, woda mi zabrała.")

Nie mam nic, nie mam nic,
Wojna mi zabrała . . .
—Hej!—jeno mi dziewucha
We wiosce została . . .

Chciałem na wesele
prosić ze wsi drużbę . . .
—Hej!—ale mnie wołali
Do wojska na służbę.

Poszedłem ja służyć
przy pancernej broni . . .
—Hej!—Takie ci twarde,
Warkoce i dzwoni.

Jadę se i cekam
Kiedy wojna minie . . .
—Hej!—Będzie mi mięciutko
Na Kaśki pierzynie . . .

Roman Gilewski

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

W czasopismach z końca sierpnia, ciągle wiele miejsca zajmuje walka o bill (ustawę) dotyczący obowiązkowej służby wojskowej (który, jak wiemy z depesz, po zaciętej walce został przyjęty przez Kongres i Senat). Cała prasa polska oczywiście popiera wniosek rządowy i w niezliczonych artykułach i notatkach rozprawia się z członkami opozycji kongresowej—demaskując ich związki z propagandą niemiecką, albo ich bezkrytyczność.

"Dziennik Polski" w Detroit pisze na ten temat: "Cała prasa polska w Ameryce, bez różnicy zapatrywań i przynależności zgodnie utrzymuje, że konskrypcja (pobór) w Stanach jest nieodzownie potrzebna. Polacy domagają się silnej armii amerykańskiej. Polacy gotowi są teraz, tak samo jak w czasie wojny światowej, dać podatek krwi Ameryce, wierząc, że Stany są czynnikiem, który zadecyduje o odrodzeniu Polski."

"Nowiny Polskie" z Milwaukee w kilku artykułach atakują senatorów a nawet Kongres jako całość za stanowisko antywojenne. Jak ostre są te ataki—świadczy następujący ustęp artykułu z dn. 24/VIII br.:

"Dyskusja w Senacie Stanów Zjednoczonych

nad projektem ustawy o przymusowej służbie wojskowej wykazała jasno, że w tym najpoważniejszym ciele prawodawczym kraju sasiadają między innymi ludzie nie posiadający żadnego poczucia obowiązku i powagi, puszczający się na typowe łobuzerskie argumenty i zarzuty, które ośmieszają wobec całego świata Kongres amerykański.

Tylko bowiem człowiek bez żadnego szacunku dla siebie i dla Senatu może twierdzić, że mowa ambasadora Bullitta, wygłoszona w Filadelfii z upoważnienia Departamentu Stanu zdradza przyjaźń Bullitta dla bolszewizmu rosyjskiego, albo graniczy ze zdradą tego kraju.

Ambasador Bullitt w swej mowie stwierdził, że upadek Anglii napewno sprowadziłby atak dyktatorów na Amerykę i wzywał do niesienia materialnej pomocy Anglii oraz zaprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej i stworzenia potężnej siły zbrojnej.

Senator Wheeler z Montana widzi w tej mowie dowód przyjaźni Bullitta z Mołotowem, a senator Clark z Idaho niemal akt zdrady państwa.

Inni przeciwnicy obowiązkowej służby wojskowej te cyniczno-łobuzerskie zarzuty oklaskiwali. W takiej sytuacji nie można się dziwić, że Niemcy i Włosi kpią sobie z Kongresu amerykańskiego i całej amerykańskiej polityki."

Dużo hałasu zrobiła w Stanach Zjednoczonych sprawa oświadczenia kongresmana Martina Dies'a z Texas, prezesa komitetu izbowego badającego sprawy dywersji. Dies oświadczył wyraźnie, iż zebrał dowody, że Niemcy i Włosi amerykańscy, bądź to dobrowolnie, bądź pod terrorem, wysługują się państwom osi i współdziałają w organizacjach dywersyjnych, których celem jest przede wszystkim rozkład przemysłu amerykańskiego. W fabrykach są osadzani specjalni agenci, którzy dążą do sparaliżowania działania zakładów. Propagandę uprawia t. zw. "Centralna Agencja Europejska"—której ścisły związek z mocarstwami osi stwierdzono ponad wszelką wątpliwość. Dies zapowiada wystąpienie na Kongres z wnioskiem o bill przeciw dywersji i propagandzie. "Nowiny Polskie"—opisując wystąpienie Dies'a przed Kongresem, przypominają metody dywersji niemieckiej w Polsce i rolę mniejszości niemieckiej.

O nastrojach "wojennych" świadczą również liczne wiadomości o postępie zbrojeń amerykańskich. Z pośród nowości mniej znanych u nas, "Dziennik dla wszystkich" (Buffallo) przytacza opis olbrzymiego bombowca amerykańskiego, mogącego przelecieć bez lądowania do Europy i z powrotem, oraz nowego potężnego pościgowca o szybkości 500 mil na godzinę, specjalnie silnie uzbrojonego. Typy te zostały zatwierdzone do użytku armii Stanów Zjednoczonych. Oprócz nich, "Dziennik Polski" w Detroit opisuje wynalazek rakiety-ścigacza, kierowanej falami głosowymi, jakie wydaje aeroplan w locie i "goniącej" go z szybkością 900 klm. na godzinę.

"Nowości Polskie" z Milwaukee, zamieszczają w dn. 27/VIII interesujący urywek z raportu złożonego przez Komitet Y.M.C.A. w Genewie swemu kierownictwu w Ameryce. Raport ten zatytułowany "*Obcy składają hołd Polakom*" przynosi garść informacji o naszych dywizjach w Szwajcarii, cytujemy go przeto niemal w całości:

"Duch internowanych żołnierzy polskich występuje w całej pełni swego uroku, kiedy wszyscy od nas domagają się pomocy w znalezieniu jakiegoś sposobu, aby mogli przedrzeć się do Anglii. Rzecz oczywista, że pomóc im w tym nie możemy, jednakże fakt ten wskazuje, jak dalecy są Polacy od pokonania duchowego.

"Jednym z rysów najbardziej charakterystycznych internowanych w Szwajcarii Polaków jest ich solidarność. Podczas walk we Francji ta dywizja pozostała niewzruszona, za wyjątkiem chyba zabitych lub rannych. Żołnierze pol. oficerów swych szanowali i słuchali i wzamian za to otaczani byli przez oficerów największą troskliwością. Rezultatem tej zgranej akcji było to, że kiedy nakazany został odwrót, dywizja polska uratowała wszystek swój sprzęt wojenny, włączając nie tylko ekwipunek wojskowy, ale także kantynę na kołach z wozem wagonowym, w którym mieszkały dwie polskie pielęgniarki Czerwonego Krzyża, prowadzące kantynę żołnierską, a także wycofali samochód ciężarowy, na którym mieli kompletne maszyny do wyświetlania ruchomych obrazków gdziekolwiek, nawet na postoju w polu. Aparaty te tak były wyekwipowane, że gdyby w wiosce jakiejś nie było prądu elektrycznego, to mieli nasi żołnierze mały motorek, który dostateczną ilość elektryczności produkował dla projektora. Dziś pragnieniem Y.M.C.A. jest wystarać się u władz szwajcarskich o pozwolenie, ażeby aparat ten mógł kursować po wszystkich miejscowościach—gdzie internowani są Polacy.

"Odnośnie do wypełnienia wolnego czasu przez internowanych Polaków, cechuje ich ostra różnica w porównaniu z internowanymi Francuzami. Prawie bez wyjątku Polacy we wszystkich ośrodkach organizują programy działalności, co daje internowanym jakieś zajęcie.

"Zanim zjawiła się pomoc z Y.M.C.A.—głosi dalej meldunek tej organizacji—Polacy pozostawali pozbawieni kompletnie wszystkiego. Jednakże wszystko sami robili, ażeby jakoś brakom zaradzić. Pozakładali klasy języków angielskiego, francuskiego i niemieckiego, który jest im potrzebny w Szwajcarii. I prowadzili te kursy bez podręczników, bez ołówków i bez papieru.

"Gdy tylko znaleźli oficera lub nawet szeregowca, który umiał coś innego od innych, to natychmiast stwarzali dla niego klasę, pełną chętnych i gorliwych słuchaczy.

"Działalność swą Y.M.C.A. prowadzi wśród Polaków z łatwością dlatego, ponieważ znajdują się łatwo oficerowie, podoficerowie lub szeregowcy, którzy chętnie przyjmują na siebie obowiązki przywódców lub kierowników i chętnie dla innych pracują."

Niemal w każdym numerze wszystkich dzienników polskich, cytowane są przedruki z prasy angielskiej o wyczynach polskich lotników. Emigracja entuzjazmuje się walkami i świetnymi ich wynikami. Artykuły i wiadomości te są najlepszą propagandą Polski i jej sprawy w opinii emigracji, która chce być i jest dumna z Armii Narodowej.

Wielką część uwagi naszych rodaków amerykańskich pochłaniają wybory na urzędy stanowe i federalne, jakie właśnie rozpoczynają się w Ameryce. W wyborach biorą udział liczni kandydaci polscy. Charakterystyczny obrazek zabiegów wyborczych zawiera następująca notatka—cytowana za "Nowinami Polskimi":

"W sali Jana Malinowskiego odbyło się wczoraj zebranie w sprawie kandydatury Erwina Ryczek, który stara się na demokratycznym tykiecie o nominację na posła do legislatury z 11go dystryktu. Na zebranie to przybyli mecenas Tadeusz Wasielewski, senator Artur Zimny i Dr. J. F. Reilly, kandydaci na kongresmana w 4-tym dystrykcie. Wszyscy trzej przemawiali za kandydaturą p. Erwina i powiedzieli, że jest on ukwalifikowany na ten urząd.

Pan Ryczek przybył na zebranie i został powitany oklaskami i także przemówił do swych przyjaciół, których było przeszło 100.

R. Maruszewski, sekretarz
Klubu Erwin Ryczek.

Jerzy Pomian

Jak zachować sie w Anglii

Dziwnym zrządzeniem losu wielka ilość Polaków i Polek, osób i wojskowych cywilnych, a nawet dzieci, znalazła się po raz pierwszy na terytorium Anglii. W krótkim czasie liczba ich dosięgnie kilku dziesięciu tysięcy osób, jeżeli policzymy wojsko, lotników, marynarzy i osoby cywilne, które na pewien, na razie trudny do określenia termin będą zmuszone przebywać na gościnnej wyspie John Bull'a, zażywając jego gościnności, swobód i wszystkich udogodnień kultury angielskiej.

Z tego faktu wypływa szereg niezwykle ważnych i aktualnych obowiązków i wymagań, do których Polacy będą musieli się przystosować, jeżeli nie zechcą zaprzepaścić wspaniałego skarbu szacunku i popularności, jaki wojsko polskie zdobyło sobie najpierw w Polsce, potem na polach bitew Norwegii, i Francji. Jest to niezwykle cenny kapitał, którego nie wolno nam za żadną cenę zaprzepaszczać, jeżeli pragniemy, aby Anglicy z nami nadal pracowali i po osiągnieciu ostatecznego zwycięstwa dopomogli do odbudowy Polski.

Słowa porady, a nawet ostrzeżenia, jakie tutaj zamieszczamy, niech ułatwią naszym rodakom swobodne poruszanie się na ziemi angielskiej, bez narażania na szwank naszej opinii. Uwagi te więc będą dotyczyły zasad codziennego zachowania się, będą próbowały sięgnąć też głębszej istoty życia angielskiego, z którą każdy Polak musi się liczyć, jeżeli nie chce wprowadzać rozdźwięków w obcowaniu z Anglikami.

1. A więc najpierw kwestia powitania: częste witanie się przez podawanie rąk, lub całowanie rąk pań jest zasadniczo niewskazane. Wystarczy pochylenie głowy, gest ręką lub słowo: "hallo."

2. Należy pilnie zwracać uwagę na sposób jedzenia Anglików, unikać głośnego jedzenia i mówienia przy stole, hałaśliwego zachowywania się w lokalach publicznych, rozmów ze służbą restauracyjną lub hotelową i poufałości z nią.

3. Należy dbać o porządny wygląd. Noszenie bród i długich włosów uchodzi u Anglików za objaw zniewieściałości. Należy się ubierać skromnie a nie ostentacyjnie, lub krzycząco.

4. Należy unikać wszelkiej przesady w mowie i ruchach, aby nie zwracać na siebie uwagi zbyt głośnym lub jaskrawym zachowaniem. Należy unikać gestykulacji rękami. Chodzenie pod rękę na ulicy jest też źle widziane. Mężczyzna powinien towarzyszyć kobiecie zawsze od strony jezdni. Grzeczność i uprzejmość wzajemna jest obowiazująca we wszystkich okolicznościach. Jednocześnie należy dążyć do zachowania zawsze, a szczególnie w krytycznych chwilach, spokoju, a zwłaszcza, nie poddawać się panicznym nastrojom. Nie należy być ani zbytnio układnym, ani wyniosłym. Trzeba zachowywać jednakowo uprzejmy ton względem wszystkich, zarówno zwierzchników, jak i podwładnych. Nie należy obsypywać Anglików komplementami, *a tym mniej ich krytykować* i należy zachowywać miarę w poufałości, zwłaszcza, jeżeli się nie zna dobrze języka angielskiego. Trzeba pamiętać, że angielskie zaproszenie do restauracji lub do baru zawsze obowiązuje do rewanżu.

5. Należy przestrzegać ściśle punktualności, słowności i porządku. Zaniedbywanie tych kardynalnych wymogów przyniesie tylko szkody, i doprowadzi do utraty przyjaciół. Uczciwość i prostolinijność, jest najlepszą drogą postępowania z Anglikami. Anglicy lubią ludzi prostych i naturalnych.

6. Należy unikać opowiadania, zwłaszcza w obecności Angielek, sprośnych "kawałów," dwuznaczników i dykteryjek, robienią nieprzyzwoitych zwierzeń lub prowokacyjnego zachowania się wobec kobiet. Angielki nie lubią obcesowości i nachalstwa.

Stefan Kleczkowski

Przegląd polityczny

Atak na Wyspy Brytyjskie przygotowany był na 16-go września br. W portach Calais, Dunkierce, Boulogne i Ostendzie zebrano ogromną ilość statków i podobno nawet łodzi płaskodennych. Jednocześnie zwiększyła się akcja lotnicza, zarówno nad stolicą, jak i nad Środkową Anglią. Ale Hitler nie wziął pod uwagę dwóch czynników: *RAFU* i *WIATRU*. Wicher, dmący nad Kanałem uniemożliwił masową przeprawę niewielkich statków i łodzi. A lotnictwo angielskie dopomogło jeszcze "niekorzystnvm warunkom meteorologiczym." Projektowany atak nie powiódł się.

Czy oznacza to zaniechanie hitlerowskich projektów inwazji? Bynajmniej. Führer otrzymujący w Bertechsgaden depeszę od marszałka Goeringa nie przypominał bynajmniej Filipa II., który otrzymał w Escurial hiobową wiadomość o porażce Wielkiej Armady. Projekty niemieckie nie zostały bynajmniej zaniechane i sytuacja jest jeszcze ciągle poważna, o wiele cięższa, aniżeli za czasów Elżbiety. Nieprzyjaciel rozporządza olbrzymią podstawą ataku, od Przylądka Północnego aż po granicę hiszpańską i nie ulega wątpliwości, że pokusi się prędzej czy później o przedsięwzięcie ofensywy, skierowanej w samo serce Anglii. Na razie stosuje Hitler wypróbowaną metodę niszczenia nerwów. Każdei nocy zlatują na Londyn setki ciężkich bomb. Przed uderzeniem, chce Führer złamać odporność brytyjskiego społeczeństwa.

Jest ona wprost olbrzymia. Począwszy od króla aż do zwykłego robotnika wykazuje ten naród niesłychany hart ducha i zimną krew. Kiedy przed dwoma dniami Jerzy VI. zjawił się bezpośrednio po nalocie około płonących jeszcze domów z tłumu padł okrzyk:

—Jesteś wielkim królem!

—*Jesteście wielkim społeczeństwem*—odpowiedział król.

To prawda. Jeżeli jakiś naród ma naprawdę posiadać misję przewodzenia światu to Anglicy zdają najtrudniejszy egzamin siły charakteru z najwyższym odznaczeniem. Nie ulega wątpliwości, że ten hart Anglii wpłynie decydująco na stanowisko Stanów Zjednoczonych. Właściwie Ameryka jest już w wojnie z Niemcami. Układ dotyczący wspólnej obrony wybrzeży Zachodniego Atlantyku, odstąpienie 50 kontrtorpedowców i ogromnych samolotów "latających twierdz" walczącemu państwu—to wszystko trudno podciągnąć pod nazwę "neutralności." *W interesie rasy anglo-saskiej, w interesie chrześcijaństwa i kultury świata leży, aby ten udział Stanów Zjednoczonych w wielkim dramacie Europy zaznaczył się jeszcze poważniej a zwłaszcza jeszcze szybciej.*

Do ataku na Wielką Brytanię pcha Hitler również nieszczęsnego Mussoliniego. "Unterführer" ma zająć się ofensywą na Egipt, aby w ten sposób odciągnąć dużą część lotnictwa angielskiego od brzegów brytyjskich. Ale jak dotąd, ofensywa ta nie daje większych wyników. Tak bardzo reklamowane lotnictwo włoskie ustępuje eskadrom angielskim na całej linii. W ogóle ma się wrażenie, że akcja włoska jest jakby umyślnie powolna i krępowana czynnikami odmiennej natury, aniżeli względy strategiczne.

Nie jest wykluczone, że wiąże się z tym również wizyta Ribbentropa w Rzymie. Prasa niemiecka podkreśla znaczenie tego wyjazdu, twierdząc, że "spotkanie ministrów Ciano i Ribbentroppa witane jest z radością przez zwolenników nowego porządku w Europie." Być może, ale niewiadomo kogo poza Niemcami, ten "nowy porządek" entuzjazmuje.

W samych Włoszech polityka "osi" ma co raz mniej zwolenników. Ciekawe pod tym względem są sprawozdania dziennikarzy amerykańskich. Według nich Włochy przystępując do wojny, *nie liczyły się zupełnie z możnością dłuższego trwania kampanii, aniżeli dwa tygodnie.* Chodziło o wykorzystanie sytuacji przy podziale łupu francuskiego. W Rzymie panowało przekonanie, że po upadku Paryża państwa zachodnie przystąpią do rokowań pokojowych. Faktu, że W Brytania może sama prowadzić wojnę—nikt nie brał pod uwagę. Wojny z Anglią nie chciało społeczeństwo włoskie a są nawet bardzo poważne dane, że w tej sprawie istniały duże różnice zdań w samej partii faszystowskiej. Możliwe, że przypominano sobie słowa twórcy trójprzymierza, Crespiego, że "*Włochy, bez względu na to z kim pójdą na kantynencie—są skazane na najlepsze stosunki z Anglią.*" Cała zresztą polityka b. ministra spraw zagranicznych, Grandiego, szła po tej linii. Chodziło o kontrasekurację, o możność przeciwstawienia się zbyt silnemu sprzymierzeńcowi. Tymczasem obecnie schodzą Włochy z piedestału sprzymierzeńca—do roli wasala. Najlepszym tego dowodem są chociażby owe "instrukcje," jakie do Rzymu przywiózł Ribbentrop.

Oprócz Włoch terenem działalności dyplomacji niemieckiej staje się Hiszpania. Kraj ten, po niezwykle ciężkiej wojnie domowej znalazł się na brzegu przepaści, zarówno społecznej, jak i gospodarczej. Stosunki polityczne na półwyspie iberyjskim, mimo kleszczy niesłychanie ostrej dyktatury—zaogniają się co raz to bardziej. I z wielu stron podsuwają gen. Franco myśl, że jedynym wyjściem z tej sytuacji może być wojna, połączona z nadziejami na francuskie Marokko oraz angielski Gibraltar. Poplecznikiem polityki berlińskiej, jest minister spraw wewnętrznych, p. Serano Suner. Był on niedawno nad Sprewą, gdzie odbył ważne konferencje z Hitlerem i Ribbentropem. Niewiadomo jednak, czy gen. Franco, jak dotąd bardzo ostrożny w polityce zagranicznej, pójdzie na te afrykańskie pokusy.

Rząd w Vichy ma nowy, bardzo poważny kłopot. Mianowicie z kolonią Indochińską, do której pretensje i to bardzo kategoryczne, zgłasza Japonia. Jest to zresztą jeszcze jeden dowód niewłaściwości tej polityki, jaką prowadził rząd marszałka Pétaina. Gdyby po katastrofie wojskowej w metropolii — ratowano kolonie, flotę i lotnictwo, stając u boku Anglii, *to z pewnością nie trzeszczałyby więzy spójności tego gmachu kolonialnego, jaki przez wiek z górą Francja budowała.* Tymczasem sytuacja w koloniach, zwłaszcza w Tunisie i Indochinach, jest więcej, niż poważna.

Z Polski, umęczonego kraju, przedostają się rzadko tylko wieści. W ostatnich czasach, o nastrojach naszego społeczeństwa—zaczęła informować świat prasa niemiecka. I tak z ogromną ironią, ale zarazem i pewnym niepokojem podano wiadomość, że "*Polacy, wbrew wszystkiemu, wierzą ciągle w cud i oczekują cudu.*" Bardzo charakterystyczne wyznanie. Wynika z niego, że nawet tak straszny zawód, jak klęska Francji, nie złamał ducha narodu.

Społeczeństwo, pozbawiane elementarnych praw do życia, ogołocone z żywności, wyniszczone straszną głodową zimą, chce walczyć i w najstraszniejszych warunkach walkę nie tylko o swój byt, ale o swą rolę w Europie—wciąż prowadzi. I ta wiara w cud może być przedmiotem tylko największego szacunku narodów naprawdę wielkich, które nie zagubiły poczucia szlachetności. Naród polski wierzy w sprawiedliwość dziejową, wierzy, że dobre pierwiastki życia muszą zwyciężyć, wierzy po prostu—w Boga. A my, patrząc na niebo londyńskie, które przebiegają czarne pociski bomb niemieckich, wspominamy słowa, wyryte na drzwiach katedry wawelskiej: "*Si Deus nobiscum quis contra nos?*"—Jeżeli Bóg jest z nami—to kto przeciw nam?

tk

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 5, Portugal St., W.C.2; V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.